



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

P97ma



B 864,238

PROPERTY OF
*University of
Michigan
Libraries*

1817

ARTES SCIENTIA VERITAS

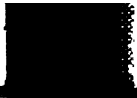


STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

MATKA



LWÓW, KSIĘGARNIA POLSKA B. POŁONIECKIEGO.
WARSZAWA, E. WENDE I SPÓŁKA. W Drukarni UNI-
wersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.
MCMIII.



[The main body of the page contains extremely faint and illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the document. The text is too light to be transcribed accurately.]



[The main body of the page is mostly blank white space with some faint, illegible markings and a small dark smudge on the right side.]

DZIEŁO TO ODBITO W DRUKARNI
UNIwersytetu Jagiellońskiego
W KRAKOWIE W ROKU P. MCMIII.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

MATKA

DRAMAT W IV AKTACH

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ
B. POŁONIECKIEGO WE LWOWIE.
WARSZAWA. E. WENDE I SPÓŁKA.

891.858
Т97ма

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 12 Сентября 1902 года.

Slavic Lang
Pawlowski
S. 28.54
87159

WIELKIEJ ARTYSTCE
SCENY POLSKIEJ
WANDZIE SIEMASZKOWEJ

POŚWIĘCA AUTOR



OSOBY:

WANDA OKOŃSKA.

KONRAD OKOŃSKI, jej syn.

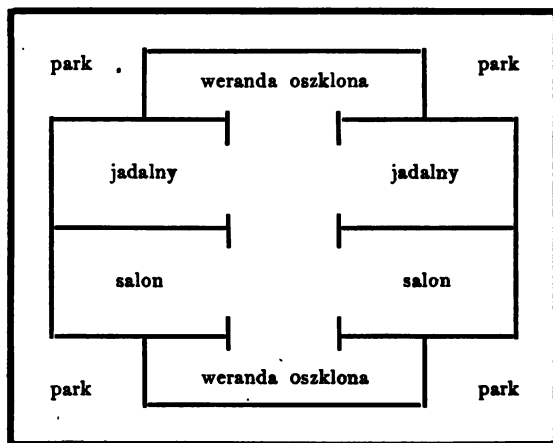
HENRYK BOROWSKI, opiekun jego.

HANKA BOROWSKA, jego córka.

PRZYJACIEL.

MŁODZIENIEC.

GOŚCIE.





The first part of the document
 discusses the importance of
 maintaining accurate records
 and the role of the
 committee in this regard.
 It also mentions the
 need for regular
 communication and
 collaboration between
 all members of the
 organization.

The second part of the document
 outlines the specific
 responsibilities of each
 member of the committee.
 It includes a list of
 tasks and a timeline
 for completion. The
 document also provides
 information on how to
 contact the committee
 and where to find
 additional resources.



AKT PIERWSZY WANDA. Teraz za chwilę Konrad przyjechać musi. A tak się czegoś lękam. Gdyby się

tylko, na Boga, nie dowiedział...

BOROWSKI. O czym?

WANDA. O tem... O tem, że ja, która go chowałam w takiej bezmiernej miłości ku zmarłemu ojcu, która mu w serce wpajałam, że nic piękniejszego i szlachetniejszego nad jego ojca nie było, teraz żyję z tobą, który nienawidzisz to jego jedyne dziecko —

BOROWSKI. Ja? nienawidzę Twojego syna?

WANDA (*zmcężona*). Nie mówmy o tem. O to jedno cię proszę: unikaj najłżejszego pozorów, by syn mój mógł zrozumieć, w jakim pozostajemy stosunku. (*Po chwili milczenia*). I z jednej strony jeszcze grozi nam wielkie niebezpieczeństwo, bo Hanka, Hanka... tak dziwnie się od tygodnia zmieniła na wieść, że Konrad ma przyjechać. Ustawicznie zmieszana, ustawicznie płonie. Przeczuję coś niedobrego...

(*Milczenie*).

BOROWSKI. Dlaczegoś wysłała chłopaka za granicę po śmierci jego ojca? (*uspakajając się*). Wiem dobrze, że jeżeli coś we mnie kochasz, to jedynie tylko pewne wspólne z nim cechy. Wiem dobrze, że jego tylko

kochałaś i po wszelką wieczność he... he... kochać będziesz. Teraz rozumiem dlaczego wysłałaś dziecko za granicę. Przez dziesięć lat, pomimo wielkiej tęsknoty, widzieć je nie chciałaś, aby tylko nie zapomniało o swoim ojcu i przypadkowo instynktem rozbudzonego dziecka nie przewietrzyło stosunku opiekuna do matki. Rozumiem to wszystko, bardzo dobrze rozumiem. Ale zbytnej rozkoszy to mi nie sprawia. *(Nagle wściekły)*. Nienawidzę twego syna! Chciałbym go zmiażdżyć, bo stoi mi na drodze ku szczęściu z tobą.

WANDA *(przerazona)*. Zmiłuj się, nie mów tak!

BOROWSKI *(opada)*. Jakżeż nie mam tak mówić? Jakżeż nie mam być wściekły i smutny. *(Znowu rozdrażniony)*. Przecież zawsze przed mojemu oczyma tylko twój syn i twój zmarły mąż i zawsze tylko twój lęk, aby syn twój nie dowiedział się o tem, że ja cię kocham... Bo że ty mnie nie kochasz, nad tem przecież przeszliśmy do porządku dziennego.. He.. he... Pamiętam dobrze, jakieś na niego wyrzekłaś, ale od chwili jak umarł, stał się twoim bożyszczem... A czasem tak z cichym uśmiechem patrzę głęboko w moją duszę i pytam naiwnie, jak głupie dziecko: czem ja jestem dla niej? He... he... Zawiadowcą fabryk pana Konrada, puścizny po jego ojcu... Dziś jeszcze, gdy przyjedzie, może mnie, jak psa z domu swego wyrzucić, jeżeli przedłożone mu rachunki nie zgadzałyby się z rzeczywistym stanem obrotu, i ja kochanek jego matki stanę się podwładnym pani syna, który może mi każdej chwili powiedzieć: »dziękuję panu za jego

sumienną służbę, ale jestem zmuszony, wskutek doświadczeń nabytych za granicą, posługiwać się młodszymi siłami. Otóż to jest kwit na gratyfikację dłużej służby pańskiej, każ go sobie pan w kantorze wypłacić..... Ha... ha... ha... Ten, którego jeszcze za życia twojego męża, swoim jedynym mężem nazywałaś... ja, który wszystkie moje siły włożył w to, aby ocalić majątek twojego syna, ja miałbym być jego podwładnym! O, nie — nie!

SCENA DRUGA.

(Od strony werandy niewidzialnej z widowni słychać turkot powozu).

WANDA (*prawie przerażona*).

Zmiłuj się! Jedzie! jedzie!

W tej sekundzie tu będzie!

Tylko pohamuj się, na Boga! Bądź wesoły, bądź szczę-

śliwy, że przyjechał. Hamuj się, błagam cię na wszystko co ci jest świętem.

SCENA TRZECIA.

HANKA (*wbiega*). Ciociu, ciociu, pan Konrad jedzie! już bramę do podwórza otwierają!

(*Wszyscy przechodzą przez szklaną werandę. W tej chwili wbiega Konrad i rzuca się matce w ramiona.*)

KONRAD. Matko! Moja droga

SCENA CZWARTA.

Matko! Zaledwie mamuchnę poznałem!... (*Obraca matkę wo-*

kół). Niechże się mamuś pozwoli obejrzeć, przecież to już dziesięć lat temu, jak mamy nie widziałem... Nic a nic mama się nie zmieniła.

WANDA (*zmięszana*). Mój złoty, kochany Konradzie!

KONRAD (*spostrzegając Borowskiego*). A! Pan Borowski! Serdecznie pana witam!

BOROWSKI (*szttywno*). I, ja serdecznie witam mego nowego pana.

KONRAD (*patrzy cokolwiek zdziwiony, ale nagle ujrzał Hanke, która na uboczu silnie wzruszoną stoi*). Hanuś! (*Podchodzi ku niej*). O! przepraszam! Po dziesięciu latach niewidzenia, to już mi nie wolno pani mówić, Hanuś. Więc śmiem tylko powiedzieć Pani, że ogromnie się cieszę, iż będę mógł odświeżyć, te wszystkie dziecinne, drogie wspomnienia tych kilku lat, kiedyśmy się razem w tym parku bawili.

WANDA. Mógłbyś do jutra zaczekać. Sprosiłam na uroczystość twój przyjazd kilku najbliższych przyjaciół naszego domu. Ale może jesteś zbyt zmęczony?

KONRAD. O! nie, droga mamó! nie! Steżałem, zmęniałem, bo w belgijskich fabrykach trzeba pracować na równi z najprostszym robotnikiem. Cóż mnie obchodzą trudy podróży!

Z przeciwnej werandy słychać turkot.

WANDA. Patrz! Goście się schodzą. Jak się wszyscy spieszą powitać syna człowieka, który był tak kochanym.

KONRAD. Dobrze, mamuś, dobrze. Przywitam ich wszystkich. Ale mama pozwoli i gościom wytłomaczy, że chcę dziś jeszcze obejrzeć każdy kącik tego parku i domu, którego dziesięć lat nie widziałem. (*Zwrócony do Borowskiego*). JPan pozwoli, że to wszystko obejrzę z córką pana, bo takie dziecięce wspomnienia są najpiękniejsze w życiu, a panna Hanka i ja spędziliśmy tu takie chwile, jakie się nigdy w pamięci nie zatra-

BOROWSKI. Ależ oczywiście. Panie Konradzie, czy pan tam w Belgii nabrał jakiegoś ceremoniału dworskie-

go? (*Pobłażliwie*). Pan dzieciak, ona dzieciak... (*Powolnie*). Przypominajcie sobie wasze dzieciinne lata. . .
*Wszyscy wychodzą na powitanie gości przez drzwi oszkło-
 nej werandy do pokoju, który jest salonem. — Pokój ja-
 dalny, który widać poprzez na oścież otwarte drzwi salonu
 napelnia się już gośćmi. Witają się wszyscy serdecznie
 z Konradem. Scena pusta, widać tylko pantominę. Trwa
 to dosyć długo, a potem Wanda i Konrad proszą gości
 do salonu.*

WANDA (*do gości w salonie*).

SCENA PIĄTA.

Dziesięć lat chłopak nie był
 w swojej ojcowiznie. Cieszę się
 serdecznie, że zobaczył dwór, w którym się wycho-
 wał, park, w którym się bawił. Szczęśliwa jestem, że
 na obczyźnie nie zapomniał o tem wszystkim, co
 w swoich najmłodszych latach przeżył... (*Filuternie,
 zwrócona do Hanki*). Bo Hanka, jak państwo wiecie,
 towarzyszyła mego syna od najmłodszych lat. (*Goście
 śmieją się i żartują*).

KONRAD. Ja teraz po tylu latach niewidzenia, wobec
 panny Hanki jestem tak zakłopotany, że nie śmiem
 jej prosić, by mnie oprowadziła po parku, (*żartobliwie*)
 w którym mógłbym teraz łatwo zabłądzić.

BOROWSKI (*z żartobliwą powagą*). Daję na to, moje
 ojcowskie pozwolenie.

KONRAD. A ja panu daję przyrzeczenie, że na razie,
 oglądnę tylko te miejsca, gdzieśmy z Hanką w piłkę
 grali i w piasku się bawili.

*Gwar i ożywiona, wesola rozmowa w salonie i w jadal-
 nym pokoju.*

KONRAD (*do Hanki*). No, to chodźmy, na chwilę.

WANDA. Idźcie dzieci na chwilę, idźcie.

Hanka i Konrad wychodzą na wschody werandy.

SCENA SZÓSTA.

KONRAD. Wie pani, pragnąłem
dzisiaj jeszcze cały park obejrzeć,
obejść wszystkie miejsca, w któ-
rych kiedyś, będąc jeszcze dzieckiem, tak piękne
chwile z panią przeżyłem... Pamięta pani, jeszcze za
tych czasów, kiedy mój ojciec żył, a ojciec pani, na
kolana mnie brał i huśtał. Pamięta pani?

HANKA. Dlaczegoż pan mówi mi »pani«? (*Wzruszona*).
Przecież ja zawsze byłam i jestem dla pana tą Han-
ką, z którą pan się w piasku bawił.

KONRAD (*filuternie*). A czemuż ja naraz stałem się
»panem«? (*Chwila milczenia*).

KONRAD (*śmieje się*). No więc zostaniemy po staremu.
Ty będziesz moją ukochaną Hanką, a ja twoim dro-
gim Konradem, jak mnie dawniej nazywałaś. Rodzi-
ców o pozwolenie, byśmy sobie mogli »ty« mówić,
prosić nie potrzebujemy, bo widzisz Hanka, właściwie
rodziców nie mamy... Ja mam tylko matkę, a ty
masz tylko ojca. (*Śmieją się, jak dzieci*). Ale pamiętaj,
że pomimo tego iż jutro będę pełnoletnim, jestem
jeszcze dzieciakiem. (*Po chwili, nagle*). Wiesz Hanuś,
jestem tu zaledwie pół godziny, ale tak mi jakoś
ciężko na sercu, tak mi coś to serce przygniata...

HANKA. Cóż panu jest?

KONRAD. I znowu pan?

HANKA. Cóż... cóż... panu... cóż tobie tak smutno?

KONRAD. Nie mówmy dziś o tem! Chodź, Hanuś złota,

przejdziemy po tym parku, a przedewszystkiem pójdziemy do tej altany, gdzie mój ojciec dzień w dzień, a często i nocami siadywał. Pójdziemy do tej groty, którąśmy zaczarowaną nazywali, gdzie jaszczurki świeciły dla nas złocistą łuską, gdzie świętojańskie robaczki światło rozpalonych szmaragdów rzucały na zeschłe liście burzanów... Pamiętasz to wszystko? Wtedy gdyśmy gonili za dzikimi królikami, które kapustę w naszym ogrodzie obgryzały? Pamiętasz tę łasiczkę, która nam ulubioną kurę ukradła, a którąśmy potem nieżywą w bruzdzie pola kukurydzy znaleźli?

HANKA. Chodź Konrad, chodź! Odszukamy te miejsca naszych najświętszych wspomnień. (*Nagle*). I wiesz... (*Namyśla się chwilę*). Tu jest jedno miejsce, w którym twój ojciec...

KONRAD. Co chcesz powiedzieć?!

HANKA. Nic, nic. Tylko twój ojciec... Konrad, błagam cię, nikomu nic o tem nie mów. Ale to już dawno, dawno temu, gdy go widziałam w tej małej altance, tam na prawo. Tak w południe... Słyszę, że ktoś łka i płacze. Skradałam się po cichu i ujrzałam poprzez drzewiasty powój dzikiego wina, twojego ojca. Szlochał i płakał...

KONRAD. Hanka! Czemu on szlochał? Czemu on płakał?

HANKA. Nie wiem, Konrad. To jedno wiem, tak dobrze, jak ty, że właśnie na drugi dzień znaleziono ojca twego w lesie z przestreloną piersią.

KONRAD. Tak, to wszystko wiem... Ale — czy sądzisz, że mój ojciec sam sobie życie odebrał? Bo to wszystko było jakieś dziwne i tajemnicze. (*Nagle, jakby odga-*

niając smorę). Słuchaj Hanuś, nie mówmy już o tern
więcej. Nie umiem inaczej o moim ojcu myśleć, jak
tylko, jak o jakimś wielkim, świętym człowieku. (*Za-
myślony*). Czekaj tylko.... Więc widziałas mojego ojca
w przeddzień śmierci jego, jak łkał i płakał w tej tam
altance? (*Wzburzony, szarpie ją za rękę*). Widziałas?!
HANKA (*przestraszona*). Widziałam...

SCENA SIÓDMA.
WANDA OKOŃSKA.
*Wybiega na werandę.
W salonie i jadalni
gwar i wesołość.*

WANDA. Mówiliście, że chcecie
obejrzeć cały ten stary park,
a tu nagle widzę was, jak sie-
dziecie na kamiennych płytach
wschodów. — Wiosna. Wieczór
już. Tak łatwo się zaziębić.

KONRAD (*całując matkę w rękę*).
Niech się mamuś nie lęka. Hanka pokazywała mi
tylko kierunek aleji, któremi najmilej się przechadzać.
W tej chwili przyjdę do mych gości... (*Schodzi
z sztuczną wesołością ze wschodów werandy, bierze
Hankę za rękę i niknie w parku*).

SCENA ÓSMA.
WANDA *chwilę sa-
ma, zapatrzona w dal.*

BOROWSKI (*wychodzi na weran-
dę i woła nie po cichu*). Wandol
chodźże. Tak się to wszystko
dziwne ludziom wydać musi.
Cóż to znaczy, żeś tak nagle
wybiegła na werandę?

WANDA (*przeciera czoło, w zamyśleniu*). Nic.. nic.. mój
drogi. To tylko głos mojego sokoła i twojej gołębiczy
w moim sercu... Nie dopuścimy do tego, na Boga,
nie dopuścimy.

BOROWSKI (*ponuro*). Nie dopuszczę... No, pójdiesz do

gości, których sprosiłaś na uroczystość, tę wielką uroczystość, w której ja stanę się podwładnym twego syna?

WANDA. Henryku! Nie męcz mnie tak strasznie! Jak sądu ostatecznego oczekiwałam przyjazdu Konrada. Wiesz dobrze, że przez tyle lat trzymałam go zdala od siebie, wiesz, że Hankę lubiłam i kochałam, bom ciebie kochała. Wiesz dobrze, że twoje dziecko mojego syna mi przypominało, wiesz dobrze, jak nad tem bolałam, więc nie masz prawa robić mi najmniejszych wyrzutów.

BOROWSKI. Poco o tem wszystkim mówić... Tu nie chodzi ani o syna, ani o córkę, tylko o cień twego zmarłego męża.

WANDA. Zmarłego?

BOROWSKI. Zmarłego, powieszzonego, zamordowanego lub też samobójczym wystrzałem kończącego swój żywot. Czyż to wszystko nie jest jedno i to samo? Czyż to nie jest proste przejście z bytu do niebytu? w tych lub owych warunkach? Więc dlaczego robić z tego jakąś straszną tragedję? Zrobiłaś szalone głupstwo, że kazałaś syna za granicą wychować... Dlaczego? He... he... aby świętą pamięć ojca uratować. To była twoja miłość... Ale dajmy temu spokój. Matki gości. Musimy się teraz przyzwoicie zachować. Nie możemy naszych zwykłych kłótni małżeńskich rozpoczynać. Chodź teraz ze mną. Jeżeli zaprosiliśmy gości, a raczej ty, bo ja teraz, jako podwładny twego syna, nie mam najmniejszego prawa w twoim domu, to w każdym razie, aż do końca odegram rolę albo włóдаря, lub też wodzireja.

WANDA. Nigdy nie myślałam, żebyś mógł być tak zły i zjadliwy.

BOROWSKI. Dobrze, dobrze, duszko moja, ale teraz musimy iść do naszych gości, bo to byłoby wysoce niegrzecznie pozostawić ich dłużej samych...

Prawie przemocą bierze ją za rękę i wprowadza do salonu. Wanda nastraja minę i prosi gości do nakrytego stołu w jadalni. Borowski pozostaje na werandzie.

BOROWSKI (*wychodzi na werandę i woła*). Hanka! Hanka!

SCENA DZIEWIĄTA.

HANKA (*z głębi parku*). Idziemy

już ojczu, idziemy!

Na werandzie stoi Borowski i czeka. Po chwili wchodzi z parku Hanka i Konrad.

BOROWSKI (*żartobliwie z przekąsem*). Trzeba też przecież o jakimś posiłku pomyśleć po podróży, a nie od razu o flircie...

KONRAD. Ani mi przez głowę żaden flirt nie przyszedł. Prosiłem wyraźnie pana, aby pan zechciał towarzyszyć moich najmłodszych lat pozwolić ze mną obejrzeć miejsca naszych najpiękniejszych wspomnień.

BOROWSKI. Ależ oczywiście, spodziewam się tylko, że za kilka chwil będzie was można w gronie uczestników biesiady powitać?

KONRAD. Ależ tak! Pan zechce tylko wybaczyć, że po trzydniowym znużeniu, trudno mi się bawić w gronie choćby najlepszych przyjaciół.

BOROWSKI (*żartobliwie*). No, więc zostawiam pana na opiece mojej córki, ale tylko pod tym warunkiem, że jak się pan dostatecznie ochłodzi, przyjdzie do nas

na prawdziwie luksusową kolację. (*Uśmiecha się szyderczo i wychodzi. Na ostatnim stopniu werandy obraca się raz jeszcze i kiwa po ojcowsku głową, grożąc palcem*). Tylko żadnych głupstw, moi państwo — żadnych głupstw!

KONRAD (*z dziwnym uśmiechem*). Nie, nie będzie żadnych głupstw.

BOROWSKI (*uśmiecha się i wychodzi nic już nie mówiąc*).

Chwila milczenia.

KONRAD (*do Hanki*). Hanuś?

SCENA DZIESIĄTA.

Chcesz tam wejść?

HANKA. O nie, jeszcze chwilę razem z panem pomówić pragnę.

KONRAD. I znowu z »panem«?

HANKA. No, wybacz pan, ja się tak zwolna do tego przyzwyczaję, aby panu mówić »ty«.

KONRAD (*pieści jej włosy*). Poczekam, poczekam, będę cierpliwy.

Milczenie.

KONRAD (*bierze ją za rękę*). Słuchaj Hanuś, świat jest taki szeroki i piękny... Chciałabyś razem ze mną zobaczyć jego cuda?

HANKA (*patrzy na niego z niedowierzaniem*). O czym ty mówisz, Konrad?

KONRAD. Nic, Hanuś nic. Tylko od dziesięciu lat ustawicznie myślę o tobie. (*Nagle*). Hanka, gdybyś ty wiedziała, jak ja za tobą tęskniłem.

HANKA (*cicho i nieśmiało*). Gdybyś ty wiedział, jak ja za tobą tęskniłam... Te ostatnie dni oczekiwania...

KONRAD (*z wybuchem głębokiej miłości*). Tęskniłaś za mną? Prawda to? Prawda?

HANKA (*cicho, szybko i namiętnie*). Jak tyłkom się dowiedziała, że masz przyjechać, to dzień w dzień serce waliło mi jak młotem. A te noce, te straszne noce tęsknoty i oczekiwania. I wiesz, Konrad, ze mnie jeszcze taki dzieciak... po kilkakroć razy na dzień brałam liście akacyi, obrywałam je mówiąc: przyjedzie, nie przyjedzie... przyjedzie...

KONRAD. I widzisz kochanie moje, przyjechałem. Spełniły się twoje wróżby.

HANKA (*nagle*). Konrad, wiesz, ja się czegoś tak bardzo lękam.

KONRAD (*patrzy na nią przestraszony*). Po cóż przypominasz mi ten smutek, który mnie też ogarnął na widok tej altany, w której mój ojciec płakał.

HANKA. Nie wiem, nie wiem, a taki mnie jakiś lęk straszny zbiera, a w tej chwili miałam wrażenie, że musnęło o mój policzek skrzydło nietoperza.

KONRAD. Nietoperza?

HANKA (*z cichym uśmiechem*). Nie, nie, nie to. (*Tajemniczo*). To jakieś dziwne tchnienie śmierci — Konrad, powiedz, co to jest, w chwili takiego bezmiernego, słodkiego szczęścia, to skrzydło nietoperza — tchnienie śmierci.... Powiedz Konrad, co to znaczy?

KONRAD. Hanuś uspokój się. (*Nagle wystraszony*). To nie były skrzydła nietoperza — to nie był dech śmierci — to cień mojego ojca przesunął się nad naszymi głowami.

HANKA. Twego ojca?

KONRAD (*jeszcze ciszej*). Mego ojca!

WANDA (*wchodzi poirytowana*).

SCENA JEDENASTA.

No, moje dzieci, teraz dosyć już tych nocnych przechadzek.

Przecież gości na to sprosiłam, kochany Konradzie, by cię powitali. Wszyscy zrozumieli, że chcesz obejrzeć każdy zakątek parku, w którym twoje najpiękniejsze chwile przeżyłeś, ale teraz chodźmy...

BOROWSKI (*zjawia się nagle*).

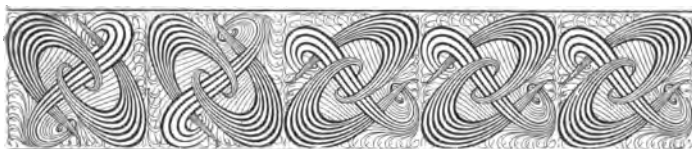
SCENA DWUNASTA.

Tak, teraz już rzeczywiście czas.

KONRAD (*bierze Hankę pod rękę i mówi*). Tak, teraz już czas...

Wszyscy wchodzi do oświetlonych pokoi.

Zastona spada.



AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

Wczesny ranek. — Matka i syn na werandzie, przy śniadaniu.

WANDA. Bardzo mi przykro, że uroczystość twego pełnoletnia, trzeba było jeszcze odłożyć. Rada opiekuńcza musi jeszcze pewne formalności załatwić.

KONRAD. Ale cóż mi droga mammo na tem zależy, czy ja dziś, jutro lub pojutrze zostanę uznany przez sąd czy radę opiekuńczą pełnoletnim... (*piją kawę — po chwili*).

WANDA (*patrząc na Konrada z wielką tklivością*). Jakiś ty dziarski, rozumny i dobry.

KONRAD. Niewiem, matuś, czy takim jestem, jak matuś mówi, ale jeżeli coś ze mnie będzie, to tylko zasługa pana Schimera w Brukseli. Musiał być bliższym przyjacielem mego ojca?

WANDA. Tak, od chwili, kiedy ojciec twój z nim się poznał za granicą, zawsze aż do końca pozostawali w ustawicznej korespondencji. Znałam go, jako niezmiernie prawego człowieka, bliskiego naszego przyjaciela; dlatego z taką ufnością powierzyłam ciebie jego opiece.

KONRAD (*zamyślony*). Musiał być niezmiernie przywiązany do mego ojca, bo nie było prawie dnia, żeby o nim nie mówił z najgłębszą czcią i miłością. Tylko

niech mi mama wytłumaczy, dlaczego zawsze, gdy
go się pytał o tajemniczą śmierć mego ojca, mięszał
się i płatał i nic mi o tem mówić nie chciał.

WANDA (*wyłękniona*). Ależ, dziecko najdroższe, tyle
razy się już o to dopytywałeś, tyle razy ci na to od-
powiedź dawałam. Wiesz przecież, że jesienią poszedł
sam jeden na polowanie i zastano go w lesie zabitego.

KONRAD. Ależ któż go mógł zabić?

WANDA. Skąd ja to mogę wiedzieć, moje dziecko.
Śledztwo wdrożono, robiłam, co tylko mogłam, by
wykręć sprawcę, ale wszystkie zabiegi na nic się nie
zdały.

KONRAD. To dziwne i tajemnicze. Kłusowników w na-
szym lesie niema. Przez robotników naszych był oj-
ciec czczony i kochany. Wczoraj jeszcze, gdym cho-
dził z panną Hanką po parku, przyszedł jakiś stary
robotnik do moich rąk, całował je, prawie płakał z ra-
dości, że widzi syna, swego ukochanego pana. Chciał
mi coś mówić, ale spojrzał na Hankę i umilkł. (*Nagle*).
Niech mi, mamuchna tylko powie, jakim jest pan Bo-
rowski dla robotników?

WANDA (*smieszana*). Może trochę za ostry, ale jednak
swojego dokonał. Wszystkie fabryki oczyszczone z dłu-
gów, produkcyja się coraz zwiększa. Nastąpił porządek
a ojciec twój silnie już zaszargał, wszystkie interesa.

KONRAD. Tak...?

WANDA. Tak, tak — moje dziecko. Byliśmy już blisko
zuppełnej ruiny.

KONRAD (*zamyślony, podejrzliwie*). W jakim stosunku
żył mój ojciec z panem Borowskim?

WANDA. Ależ w jak najlepszej przyjaźni. Był powiernikiem i doradcą ojca.

KONRAD. A dlaczego ten przyjaciel i powiernik mego ojca nie zajął się również tak gorąco naszymi interesami za życia ojca, jak po jego śmierci?

WANDA (*coraz więcej zmięszana*). Może był za delikatny, by się wtrącać w sprawy twego ojca, bo ojciec był gwałtowny i uparty.

KONRAD. Hm, hm... (*Po chwili*). A dlaczegoż pan Borowski odzywa się do mnie takim dziwnie zgryźliwym tonem. Wczoraj przez cały wieczór, tak uszczypliwie przemawiał do mnie, jakby był wysoce niezadowolony z tego, że przyjechałem. Albo, jakbym mu w czemś zawadzał. A przecież ja tak serdecznie go witałem. Mama przecież pamięta, jak się bawiłem dzieckiem na jego kolanach, jaka serdeczna przyjaźń wiąże mnie z jego córką...

WANDA. Ale, to ci się tylko tak zdawało. Może był czem innym rozdrażniony.

KONRAD. O nie, nie, moja mamó. To nie było zwykłe rozdrażnienie. Zbyt dużo obcowałem, nauczyłem się na nich patrzeć i przenikać ich. W tem musi coś innego tkwić.

WANDA. Mylisz się, moje dziecko, mylisz —

Pauza.

KONRAD. Niech mi mama powie, dlaczego z takim niepokojem śledziliście Hankę i mnie, gdyśmy po parku chodzili. To raz mama wybiegała na werandę, to znowu pan Borowski. Co to miało znaczyć? Czyż

tu nie wolno obejrzyć starych kątów w towarzystwie dziewczęcia, z którym się razem chowało? —

WANDA. No, widzisz, to nie wypada.

KONRAD. Dlaczego to nie wypada?

WANDA. Przecież goście byli, a Hanka mogłaby się dostać na języki ludzkie.

KONRAD. A więc jeżeli nie będzie gości, to wolno nam będzie razem chodzić po parku?

WANDA (*przeciąga*). No — tak. —

KONRAD. (*Prąsuwa swoje krzesło do matki, głaszcząc ją po rękach i mówi żartobliwie*). A co by też mama na to powiedziała, gdybym się tak przypadkiem zakochał w Hance?

WANDA. Tego się właśnie lękam.

KONRAD. Dlaczego się mamuchna lęka. Przecież to córka opiekuna mojego, powiernika mego ojca, przyjaciela mamy, sumiennego zawiadowcy naszego majątku.

WANDA. Nie, nie, moje dziecko. to być nie może.

KONRAD. No, niech tylko mamuś nie będzie tak przestraszona, ja tylko żartowałem. Przecież mamuchna widzi, że jestem z nią na tej samej stopie przyjaźni, jak ongi, kiedyśmy się w piasku bawili. A w takich warunkach pono rzadko miłość się rodzi.

Milczenie.

KONRAD. Więc mama nic niema przeciwko temu, że mój przyjaciel tu przyjedzie? Zapraszałem go tak serdecznie i stanowczo przyrzekł, że mnie odwiedzi.

WANDA. Ale gdzieżtam, moje dziecko. Przecież jesteś panem tego domu.

KONRAD. On może przyjechać lada dzień. (*Żartobliwie*).

Spadnie nagle, jak piorun z jasnego nieba. Nigdy listów nie pisze; jak mu jakaś myśl do głowy strzeli, to w swojej bluzie robotniczej wsiada do wagonu i pędzi na oślep. (*Nagle zamyśla się*). Wie mama, ja się tak z nim z żyłem, że zdaje mi się, iż on i ja w jednym łonie spoczywaliśmy. (*Prawie tajemniczo*). On odczuwa, prawie **wszystko**, co się w mej duszy dzieje. Gdym raz wyjechał z Brukseli i **zachorowałem** obłożnie w jakiejś małej mieścinie, zjawił się tego samego dnia przy moim łóżku i pielęgnował mnie jak dziecko. Czyta w mej duszy, jak w otwartej książce. Odgaduje wprost moje myśli, a nawet tłumaczy mi rzeczy, które poczynają kłuć się w mej duszy, ale jeszcze nie dojrzały.

WANDA. To wszystko, co mi mówisz, to dziwne, bardzo dziwne...

KONRAD. Tak mam — to bardzo dziwne. (*Nagle*). Wie mama, on musi coś wiedzieć o tajemniczej śmierci mego ojca. Może mu pan Schimer coś napomykał, bo żyli ze sobą w wielkiej przyjaźni, był ulubionym uczniem Schimera, który wspominał mu o jakimś liście, który ojciec mój napisał do niego w niejasnym przeczuciu śmierci...

WANDA (*wystraszona*). Ależ dziecko, co ty mówisz. Przecież ojciec był tego dnia wesoły.

KONRAD (*patrzy na nią zadziwiony*). A dlaczego płakał w tej tam altanie?

WANDA (*zmięszana*). Bo widzisz... właśnie... w tym samym dniu dowiedział się, że... grozi nam majątkowa ruina...

KONRAD. Mama się pewno myli. Pan Schimer przedstawiał mi zawsze ojca, jako człowieka żelaznego hartu i niezłomnej woli, a tacy ludzie nie płaczą, gdy im się majątkowo źle powodzi. Musiała być inna przyczyna...

WANDA. Ależ jaka mogła być inna przyczyna?

KONRAD. Niewiem, mamó, niewiem. Chyba, że mój przyjaciel mi ją wyjaśni, bo on wszystko wie... (*Nagle*). Mogę z mamą zupełnie otwarcie mówić?

WANDA. Ależ mów, dziecko mów. Wszystko, wszystko.

KONRAD. Wiem dobrze, jak mama Borowskiego lubi i ceni i może to mamie przykrość sprawi, jeżeli szczerze i otwarcie mamie powiem, że bardzo mi się nie podoba. Taki ma jakiś chytry, złośliwy błysk w oczach... Niewiem, skąd to wziął, bo przecież, o ile sobie go przypominam, dawniej tego nie miał. Jest mi to niezmiernie przykro, że uczułem wczoraj nagle taką antypatję do niego, bo córkę jego niezmiernie... lubię...

WANDA. Ale skąd się nagle ta antypatja u ciebie wzięła i to do człowieka, któremu tak dużo zawdzięczamy?

KONRAD (*prawie złośliwie*). Zawdzięczamy? Przecież, o ile wiem, pobierał bardzo wysoką pensję?

WANDA. No, oczywiście, ale każdy musi być wynagrodzony za swoją pracę.

BOROWSKI (*którego już od chwili widac w salonie, wchodzi sły*).

SCENA DRUGA.

BOROWSKI (*trochę zjadliwie*).

Przepraszam, że przerywam rozmowę matki z dawno niewidzianym synem, ale muszę panią na chwilę od jej macierzyńskich obowiązków odciągnąć. (*Całuje ją w rękę, podaje sztywno Konradowi dłoń*). W kantorze zebrała się rada opiekuńcza i pani obecność jako głównej opieki jest nieodzownie potrzebną. (*Do Konrada*). Jutro panu zdamy dokładny memoriał z naszej czynności zawiadowania pańskim majątkiem, w czasie, w którym był pan niepełnoletnim.

KONRAD. Ja tego zupełnie nie potrzebuję. Przecież ja panu zupełnie zawierzam. Chyba, że tego wymaga jakaś formalność sądowa.

BOROWSKI (*zimno*). Myli się pan. Ja tego dla formy nie robię. Chcę tylko, by w danym razie, nikt nie mógł mieć do mnie żadnych pretensji. Nagle mógłby jakiś przyjaciel się zjawić i mógłby panu powiedzieć: bój się Boga, twój majątek był źle i na twoją niekorzyść przez twoich opiekunów administrowany.

KONRAD (*dumnie*). Przyjaciół, którzyby się w moje majątkowe sprawy wdawali niemam. Mam za to takiego, który zna serce i duszę moją i w sprawach tyczących się mego życia wewnętrznego zawsze go słucham.

BOROWSKI. Takich przyjaciół powinien się pan najwięcej wystrzegać. Tacy właśnie mogą panu zaburzyć spokój. Mogą w duszy pana zasiać kłokol podejrzania i nienawiści... Bo bywa, że żona jest najcnotliwsza i najlepsza w świecie, a taki przyjaciel poczyna czło-

wiekowi przemocą otwierać oczy na rzeczy i czyny, które nigdy nie istniały. Albo też w pańskim położeniu, dajmy na to, może pana podjudzić, że tak powiem, nietylko przeciw opiekunowi, ale nawet przeciw matce. Może się na przykład zapytać: Słuchaj tylko, mój kochany, jak żyła twoja matka przez te dziesięć lat, które jej nie widziałeś...

KONRAD. Proszę pana, niech pan będzie łaskaw w rozmowach nie tykać mojej matki. Moja matka jest święta.

BOROWSKI. Niech się pan tylko tak nie irytuje...

No tak! Młoda, junacza krew... Nieodrodny syn swego ojca. (*Uśmiecha się pobłażliwie*): Niema chyba człowieka, któryby tak matkę pańską cenił i poważał jak ją. Zdaje mi się, że dałem dosyć na to dowodów.

KONRAD (*milczy*).

WANDA (*zagadując*). No, to może pójdziemy?

BOROWSKI. Jeszcze chwilę mamy czasu. Brak dwóch doradców... Pan tak nagle wybuchnął, ale widzi pan: pan jest młody, nie zna świata ani ludzi. Chciałem tylko pana ostrzedz, że tego rodzaju przyjaciele mogą zburzyć spokój i szczęście.

KONRAD. Przepraszam pana, że się uniosłem, ale to nietylko ze względu na matkę, ale i na jedynego przyjaciela, którego mam, a który nie byłby w stanie robić jakichkolwiek insynuacji.

BOROWSKI. A tak, zaciekawił mnie ten pański przyjaciel. Tyleś pan o nim wczoraj mówił. To mnie tylko dziwi, że się taką tajemniczością pokrywa... pan nie zna nawet jego nazwiska.

KONRAD. Co mnie obchodzi jego nazwisko. Kocham

jego serce, jego duszę, a kto go rodził to mi zupełnie obojętne.

BOROWSKI (*przeciagle*). Pomnij pan tylko, żeś pan młody, że trzeba by lepiej rady zasięgnąć u starszych ludzi.

KONRAD. O, to człowiek daleko starszy odemnie. Zdaje mi się, że znał mnie, zaczem jeszcze boży świat ujrzałem.

BOROWSKI (*uśmiecha się paląc papierosa*).

WANDA (*znowu zagadując*). Ale może to niegrzecznie że tak długo radzie każemy na siebie czekać?

BOROWSKI. Niech się pani nie obawia. Oni się tam dobrze bawią. Przecież mają wino z piwnic św. p. męża pani.

KONRAD (*patrzy uważnie na Borowskiego*). Co pan z takim przekąsem mówi o piwnicach ojca mego?

BOROWSKI. Ależ panie, nic więcej nie chciałem powiedzieć, jak tylko, że ojciec pański miał zawsze piwnicę zaopatrzoną w doborowe wina i znał się na nich... A to rzadki przymiot w naszych czasach... Pan dziś bardzo drażliwy... (*Zartobliwie*). Może pan miał jakiś przykry sen. O to nie dobrze. Pan wie, że jeżeli człowiek długo oddalony od swego domu, do niego powraca, to sen, który ma pierwszej nocy, zawsze się ziści.

KONRAD. Nie życzyłbym nam: wszystkim, by sen dzisiejszy się ziścił.

BOROWSKI (*nagle niespokojny*). No to ja z matką pańską pójdę teraz. Pan siedział wczoraj długo w nocy z gośćmi, pan jeszcze nie wypoczęty po podróży,

niech pan teraz spocznie. Sił nie trzeba forsować. Czekaj pana ciężka praca, spuściznę po ojcu utrzy-
mać i o ile możliwości pomnożyć.

WANDA. Więc, do widzenia, moje dziecko.

KONRAD (*całuje ją w rękę*). Do widzenia, mamó.

(*Z Borowskim podają sobie milcząco ręce*).

WANDA i BOROWSKI (*wychodzą*).

KONRAD (*zbiegając z werandy do parku*). Hanuś!

SCENA TRZECIA.

KONRAD (*siedzi zamysłony. Długa chwila przemija. Z prawej strony parku wchodzi wolnym krokiem Hanka bardzo zmieszana. Patrzy na Konrada, przystaje, podchodzi parę kroków i znowu przystaje. Konrad nagle ujrzawszy ją*).

HANKA (*sakłopotana*). Tak pragnęłam panu powiedzieć dzień dobry.

KONRAD. Wiesz, jeżeli będziesz mi dalej mówić »panie«, to się na serjo na ciebie pogniewam... Ale ty się tak dziwnie przez tę noc zmieniłaś, Hanuś! (*Ze zdziwieniem*). Co ci się stało?

HANKA. Nic mi nic, tylko tak źle spałam...

KONRAD (*patrzy na nią uważnie*).

Ej Hanka! Spójrz mi w oczy. Ciebie jakaś przykrość spotkać musiała.

HANKA (*milczy*).

KONRAD. Hanka, powiedz mi szczerze.

HANKA (*milczy*).

KONRAD. Słuchaj Hanuś, uważałem, że twojemu ojcu było nieprzyjemnie, gdy z tobą poszedł oglądać stare kąty naszego gniazda. Może ci ojciec robił z tego wyrzuty?

HANKA (*uparcie milczy*).

KONRAD. Hanka nie drażnij mnie twojem milczeniem.

Czy nie możesz mi szczerze powiedzieć, jak swemu przyjacielowi, bratu...

HANKA (*wybuchu płaczem*).

KONRAD (*tkliwie*). Czemu płaczesz, Hanuś? Co ci jest?

HANKA (*łkając*). Ojciec mi jak najsurowiej nakazał, bym cię unikała. A ja tak całą noc za tobą tęskniłam i płakałam. A rano patrzyłam tylko, kiedy pójdzie ojciec do kantoru fabryki i zaraz z domu się wykradłam, by ci dzień dobry powiedzieć... Dlaczegoż ojciec mój zakazuje mi widzieć cię? I wiesz, Konrad, może to tylko moje przewidzenie, ale wczoraj wieczorem zauważyłam, że i twoja matka też się dla mnie zmieniła. Była sztywna, ani razu nie zwróciła się z dobrym słówkiem ku mnie... Ach, jaka ja nieszczęśliwa!

KONRAD. Ale Hanuś, uspokój się. To tylko twoje przewidzenie.

HANKA. Może być, może być. (*Konrad bierze ją za rękę*). Widzisz, Konrad, (*jaka się*) przyznam ci się szczerze... Jak przyszedł list od ciebie, z wiadomością, że przyjeżdżasz, to takie dziwne uczucia mną miały... (*Urywa*).

KONRAD. Mów, mów mi wszystko. Jeżeli o kim przez te dziesięć lat myślałem, to tylko o ojcu, matce i tobie.

HANKA. Ty, ty, myślałeś o mnie?

KONRAD. Wiesz, to bardzo dziwne. Jak dojeżdżałem do domu, to już o niczem nie myślałem, tylko je-

dynie o tobie. I taka radość rozpierała moje serce i równocześnie lęk, jaką cię ujrzę? Czy cię taką zastanę, jaką cię w sercu nosiłem... Czyś się zmieniła... Lękałem się, że mogłaś się stać inną, o mnie zapomnieć i wystaw sobie moją głęboką radość, gdym cię zastał taką, jaką zawsze dla mnie byłaś... tylko stokroć piękniejszą i słodsza... Widziałem tysiące kobiet, ale ty tylko jedna jesteś...

HANKA. Konrad!

KONRAD (*ściska jej ręce*). A teraz, gdy cię znów ujrzałem, zdaje mi się, że nigdy już więcej nie mógłbym żyć bez ciebie. Muszę cię widzieć. Muszę wiedzieć, że tu obok, w tym tam domu, żyje moja Hanka, może pracuje nad czemś, może myśli, może śpiewa a może i płacze... A twoje łzy są dla mnie tak święte, jak łzy mojego ojca, które widziałaś spływające po jego policzkach.

HANKA (*płacze*). Nie wolno mi ciebie widzieć. Nie wolno!

KONRAD (*podrażniony*). Co to znaczy, nie wolno? Ja jestem przyzwyczajony do wolności, ja nie znam, co to znaczy nie wolno, skoro nic złego nie robię.

HANKA. Ojciec nie pozwala i matka: twoja nieufnem patrzy okiem.

KONRAD (*zamyślony*). To dziwne, dlaczego twój ojciec i moja matka patrzą takim niechętnem okiem na naszą serdeczną, braterską... (*urywa*) przyjaźń...

HANKA. Co cię tak nagle zastanowiło?

KONRAD. Nie, tylko czuję, że w mej duszy jest coś więcej, jak przyjaźń... Słuchaj, Hanuś, mogę ci szczerze i otwarcie powiedzieć?

HANKA (*sakłopotana*), Możesz...

KONRAD (*jąka się*). Więc widzisz Hanuś... Jak się goście rozjechali, rozmawiałem jeszcze długo z matką. Była już może piąta godzina rano... Byłem śmiertelnie znużony, a usnąć nie mogłem... Wiesz dlaczego?

HANKA (*cicho i nieśmiało*). Dlaczego?

KONRAD. Bo stałaś mi ustawicznie przed oczyma, bom uczuł nagle ten dreszcz, który mnie całego zbiegł, gdyśmy szli wczoraj do tych miejsc, w których nasze dziecięce lata upłynęły... Cicho... cicho...

Milczenie.

KONRAD (*siada na stopniach werandy, samysłony*).

Siądź tu przy mnie, Hanuś... Ojca mi brak w tym domu... A, Hanuś, nic więcej już nie pamiętasz?

HANKA. Nic. Widziałam tylko, jak z przewieszoną flintą szedł na polowanie, z którego już nie powrócił.

Milczenie.

KONRAD. Mam dziwne przeczucie, że lada chwila przyjedzie przyjaciel, o którym ci wczoraj tyle mówiłem.

HANKA. Konrad, coś tak nagle posmutniał?

KONRAD. Nic, nic moje kochanie, tylko mi brak ojca i tak strasznie drażni mnie ta straszna, dziwna tajemnica jego śmierci... (*Zastanawia się*). Ale powiedz, Hanka, dlaczego tak niechętnem okiem patrzę na to, że razem po parku chodzimy?

HANKA (*cicho*). Niewiem.

KONRAD. Hanuś, ja u obcych ludzi nauczyłem się szczerości. Starzy ludzie patrzę innym okiem, jak my młodzi. Oni zaraz spostrzegli, ojciec twój i matka mo-

ja — w jednej chwili spostrzegli — że to co zdawało się nam być przyjaźnią... jest miłością. Widziałem, jak skrzyżowały się ich spojrzenia, kiedyś stała drżąca i onieśmielona w drzwiach. (*Chwyta jej ręce*). I dziś w nocy przejrzałem i ja... To nie była przyjaźń, tylko... miłość, miłość!...

HANKA (*tuli się do niego*).

KONRAD (*zrywa się*). Chodź, chodź. Pójdziemy, daleko w najcienistszy kąt parku, wiesz, ten nad stawem. Mam wrażenie, że tu nas ktoś szpieguje, że każde słowo podsłuchuje. Chodź, chodź, tam mówić będziemy o naszym szczęściu.

HANKA (*jak echo powtarza*). O naszym szczęściu...

Wychodzą. Scena pusta.

LOKAJ. Może pana zaprowadzić do gościnnych pokoi?

SCENA CZWARTA.

Wchodzi PRZYJACIEL za nim LOKAJ z walizką w ręku.

PRZYJACIEL. Nie, nie, daj spokój... Postaw tę walizkę w kącie, a ja poczekam na pana Konrada... No, czegoż jeszcze

czekasz?

LOKAJ. Pan Konrad, co dopiero poszedł... Zdaje się, że jest w parku z panną Hanką, może pan pozwoli, że oznajmię wizytę pańską?

PRZYJACIEL (*prawie opryskliwie*). Jeżeli ktoś ma ochotę przechadzać się po parku, to nie widzę potrzeby mu w tem przeszkadzać...

Lokaj kłania się i wychodzi. Przyjaciół wyjmują papierosa, zapala i rozgląda się po pokoju

SCENA PIĄTA.

*Do jadalnego pokoju
wchodzi* BOROWSKI i WANDA.

BOROWSKI. A nie mówiłem ci, że tak będzie. Sam przeczuwałem dawno, że się na tem skończy. Ta uroczystość pełnolecia zostanie odłożona ad calendae graecas. (*Wchodzą do salonu*).

Wielkie pytanie, czy jutro wszystkie formalności sądowe się załatwią. (*Widzi nagle na werandzie PRZYJACIELA, który się rozgląda po parku. Oboje stają chwilę przerażeni i wchodzą trwożnie na werandę*).

BOROWSKI. Przepraszam bardzo, ale kogo mam honor powitać w domu pani Okońskiej?

PRZYJACIEL (*kłania się bardzo grzecznie*). Nie przyjechałem do pani Okońskiej, tylko do domu mego przyjaciela Konrada Okońskiego.

BOROWSKI. Toś pan bardzo dowcipnie powiedział, ale możeby pan na to zechciał zważyć, że syn i matka pozostają w takim stosunku, iż dom syna jest równocześnie domem matki.

PRZYJACIEL. Nie chciałem być wcale dowcipnym. Przyjechałem, by odwiedzić mego przyjaciela Konrada wskutek usilnych jego zaproszeń... Konrad przeczuwał, że będę mu potrzebny, a ponieważ Konrada kocham, więc przy pierwszej lepszej sposobności zebrałem moje manatki i przyjechałem.

WANDA (*b. wystraszona*). Konrad lada chwila nadejdzie ale tymczasem niech się pan rozgości w naszym domu, jak w własnym. A otóż właśnie nadchodzi. (*Chwila milczenia, podczas której wchodzi na werandę Konrad i Hanka*).

KONRAD (*prawie przestraszony*).

SCENA SZÓSTA. Jezus! Maryja! Skądżeś się tu wzięł?

PRZYJACIEL. Czułem, że ci będę potrzebny.

BOROWSKI. No, zostawmy przyjaciół sam na sam. (*Wesoło*). Młodzi ludzie, koledzy mają sobie zawsze coś do powiedzenia i to takie coś (*prawie cynicznie*), czego nasze stare uszy słyszeć nie powinny.

HANKA (*która dotychczas śledziła przebiegu rozmowy*). To i ja może pójdę.

BOROWSKI. Przecież wyraźnie powiedziałem, że dwóch przyjaciół, którzy się dawno już nie widzieli trzeba pozostawić sam na sam.

HANKA (*wychodzi cicho do drugiego pokoju*).

WANDA. W każdym razie wolno zaprosić pana na śniadanie w domu mojego syna.

PRZYJACIEL. W domu pani syna? Tak.

BOROWSKI (*ironicznie*). A więc teraz trzeba kochanych przyjaciół pozostawić na poufnych zwierzeniach po tak długiemi niewidzeniu.

Wanda i Borowski wychodzą.

KONRAD (*podchodzi do przyjaciela*).

SCENA SIÓDMA. Zmiłuj się, powiedz mi, dla czego ty tak nagle przyjechałeś?

PRZYJACIEL. Ja? Nagle? Zapomniałeś, że mnie prosiłeś, abym jaknajprędzej przyjechał. Zdawało mi się, że jestem ci potrzebny, a jeżeli ci teraz zawadzam, to mogę jeszcze teraz wrócić do mego zajęcia. W tej chwili mogę opuścić twój dom.

KONRAD. Bój się Boga, co ty mówisz? Ja się niesły-

chanie cieszę, że jesteś w moim domu. To tylko mnie zdziwiło, że zjawiłeś się właśnie w chwili, kiedy mnie dziwne jakieś przeczucia dręczą. Ale nie mówmy o tem ..

PRZYJACIEL. Właśnie trzeba o tem mówić. (*Tajemniczo*). Może być, że ja tylko dlatego przyjechałem. (*Nagle*). Tyleś mi zawsze mówił o tej Hance Borowskiej (*kręci papierosa*). A rzeczywiście ładne dziewczę... Hm... hm... (*Pali papierosa*). Pewnie się bardzo ucieszyła, jak przyjechałeś?

KONRAD. No, oczywiście, od dziecka chowaliśmy się razem.

PRZYJACIEL. Tak, tak, to ja wszystko rozumiem. (*Patrząc bystro w oczy Konrada*). Ty kochasz Hankę Borowską?

KONRAD (*zaskoczony*). Ja?... Jesteś moim przyjacielem, więc ci szczerze powiem, że ją kocham i kochać zawsze będę to dziecko, które prawdopodobnie zawsze dzieckiem pozostanie... biednym, nieszczęśliwym dzieckiem.

PRZYJACIEL (*z dziwnie tajemniczym uśmiechem*). Dlaczego ona ma być biedna i nieszczęśliwa, skoro ją tak kochasz?

KONRAD. Dziwna rzecz. Mam to wrażenie, że Hanka nigdy szczęśliwą nie będzie. Mówię ci jeszcze raz szczerze, że zupełnie sobie sprawy z moich wrażeń nie zdaję, a ile razy spojrzę w jej oczy, to mam wrażenie, że szczęśliwą być nie może...

Milczenie.

KONRAD. Kocham ją całą duszą, ani od wczoraj, ani od dzisiaj, tylko od dziecka żyłem się z nią, ustawicznie żyła w moich myślach... ale...

PRZYJACIEL. Jakie »ale«...?

KONRAD (*sakłopotany*). Ale jest córką człowieka, którego od wczoraj znienawidziłem. Zapomniałem o nim, ale teraz gdy go znowu ujrzałem, zdaje mi się, że ktoś chwycił za sprychy koła mego przeznaczenia. Im więcej jestem świadomy mojej miłości ku Hance, tem wyraźniej wyziera ta starcza, koźła twarz tego... tego mojego opiekuna.

PRZYJACIEL. I rzeczywiście tak kochasz tę twoją Hankę? Mów mi otwarcie.

KONRAD. Kocham z całej duszy, ale ta przekłeta koźła twarz jej ojca i... (*tajemniczo*). Wiesz, to niezmiernie dziwna rzecz, ile razy zbliżę się ku niej tak serdecznie, z całą moją młodą namiętnością staje jakby cień jakiś, obraz mojego ojca między nami.

PRZYJACIEL (*kręci papierosa*). Ojca, którego zaledwie pamiętasz.

KONRAD (*jak echo*). Którego zaledwie pamiętam...

PRZYJACIEL (*zamysłony*). A przecież byłeś chowany w tak wielkiej miłości ku twemu ojcu.

KONRAD. Tak, to był wielki, piękny człowiek.

PRZYJACIEL (*kręci znowu papierosa*). Wielki i piękny człowiek... hm... Widzisz, bywa i tak, że ofiara jakiejś zbrodni, staje się po śmierci czemś pięknem i wielkiem.

KONRAD. Ofiara zbrodni?!

PRZYJACIEL. Coś się tak zadziwił. Życie jest jednym szeregiem zbrodni, które nam jakaś nieznaną potęgą popełniać każe i stajemy się poniekąd narzędziami jakiejś tajemniczej, złośliwej woli. Ale dajmy spokój

tej metafizyce. (*Zamyślony*). To dziwne, że ty tak nie-
nawidzisz opiekuna twojego a twoja matka żyje z nim
w takiej serdecznej przyjaźni...

KONRAD. Wiesz, to mnie też zastanawiało. Tłumaczę
sobie tem, że to był najbliższy przyjaciel mego ojca,
a matce mojej oddał wielkie usługi.

PRZYJACIEL. No, tak, tak, przysługi, przysługi...

KONRAD. Co mówisz?

PRZYJACIEL. To prawda. Przyjacielowi można odda-
wać rozmaite przysługi... Rozmaite przysługi można
mu oddać. Można mu naprzykład weksel podpisać,
którego zapłacić nie można. Można go ścisnąć i ca-
łować, a równocześnie dołki pod nim kopać... Wi-
dzisz, to wszystko było i tak zawsze będzie...

KONRAD. Tego już zupełnie nie rozumiem.

PRZYJACIEL. Nie szkodzi. Dobrze, że nie rozumiesz.
Młody jeszcze jesteś. Masz czas na to. (*Po namyśle*).
Słuchaj Konrad, czyś ty się kiedy namyślił nad tem:
dlaczego kazano cię chować w takim głębokiem,
świętem wspomnieniu ojca, którego nie pamiętasz
dobrze?

KONRAD. Co? Dlaczego?

HANKA (*wbiega niespokojna*). Pa-

SCENA ÓSMA. nie Konradzie, matka pańska
prosi, żebyś pan wyszedł w wa-
żnej sprawie do niej do parku.

PRZYJACIEL. Ależ, proszę pani, ani na chwilę nie
wątpię, że matka Konrada pozwoli chwilkę jeszcze
dawnym i serdecznym przyjaciółom opowiedzieć so-
bie rzeczy, które zaszły w ostatnich czasach.

HANKA (*jak zahyponotyzowana*). Przepraszam pana... (*Fakając się*). Takiego człowieka, jak pan jeszcze nie widziałam... Przyznam się otwarcie, że matka Konrada wcale go nie wołała, tylko mnie samą zdjął taki jakiś dziwny lęk... Nie chciałam nadслуchiwać, szukałam jakiejś wymówki, by wejść... i teraz otwarcie mówię: chcę pana od Konrada przemocą oderwać.

PRZYJACIEL. Przemocą? Niel! Żadne moce ani przemoce ludzkie nic zrobić przeciwko mnie nie mogą. (*Dziwnie i tajemniczo*). Czasem łódka wielkiej szczęśliwości ludzkiej osiadzie na rafach koralowych wysp. Powinna przecież nie posiadać się z radości, że osiadła na takiej szlachetnej, niezmiernie drogocennej podstawie. A przecież ruszyć się nie może, ślimaki ją obsiadają, pleśnieje, pokrywa się szlamem i muszlami, gnije zwolna i całe błogosławieństwo życia ludzkiego staje się mierzwą zgniłych desek, zeschniętych ślimaków, skorpionów, które już nic z ciała ludzkich wyssać nie mogły. (*Po chwili szyderczo*). A może gniazdem mitycznych węzów morskich, albo też gniazdem, w którym jakiś nędzny robak swe jajko znieśie. I ot, kochana pani, to nędzne jajko wylęgnięte w mierzwie i zgniliznie, staje się zarodkiem nowego życia, a potem przychodzi jakiś pan Darwin, Heckel lub Büchner i my szczęśliwi i w dobrobycie żyjący ludzie dowiadujemy się, że początek nasz jest nie z wiek wieczności, ale z mierzwy i mułu.

HANKA. Wie pan, niech się pan wcale nie spodziewa, że mnie pan swoim dosyć brutalnym gadaniem zdoła wystraszyć. Miałam kuzyna, który mniej więcej

w ten sam sposób postępował ze mną, a nie dałam mu się przestraszyć. Chciał się mną bawić: niegdyś płakałam ze złości i gniewu a teraz się śmieję, śmieję, śmieję...
 PRZYJACIEL (*szycercko*). Ma pani słuszość, teraz wolno się pani śmiać... Ale prawda, to dzisiaj piątek, a wie pani, jak mówi przysłowie? Kto w piątek się śmieje, ten w niedzielę płacze, a czasami już w sobotę...

KONRAD. (*śmieje się*). Dobrze, że tak długo z tobą żyję. inaczej bym myślał, że przyjechałeś po to, by złowrogie wróżby wygłaszać.

HANK \wedge (*rozweselona*). A słyszałeś Konrad, puszczyka (*Naśladując*). Hu — hu — hu — hu! (*Do przyjaciela*). Ale teraz, kochany panie, który w piątek płaczesz a w niedzielę się śmiejesz, chodź pan do parku, a pokażę panu te miejsca, gdzie się z Konradem bawiła, gdyśmy dziećmi byli.

PRZYJACIEL. Z przyjemnością odwiedzę te miejsca, gdzie ludzie w niedzielę płaczą a w piątek się śmieją.

KONRAD. Ha, ha, ha. Przekręciłeś przysłowie, ale mniej-sza o to, chodźmy do parku. Poznajże i ty ten park, o którym ci tyle wspominałem.

Wychodzą. Scena chwilę pusta.

SCENA DZIEWIĄTA. BOROWSKI. Słyszałaś ich rozmowę?

Wchodzą WANDA WANDA (*niema z przerażenia*). Coś i BOROWSKI *wi-* BOROWSKI. Przecież słyszałaś
dać ich przez oszkło- wszystko. Wiedział, że tam za
ne drzwi werandy. drzwiami słyszymy, co on mó-
 wi i umyślnie dlatego, byśmy

go dokładnie słyszeli, głos podniósł.

WANDA. Strach, strach, on wie o wszystkim.

BOROWSKI (*wyłękły*). Ale skąd, skąd?

WANDA. Skąd? Przecież tak często słyście o Schime-rze, któremu na nasze nieszczęście powierzyliśmy opie-kę nad Konradem. On był przyjacielem mego męża... może jakiś list, z którego treścią zaznajomił tego zło-wrogiego przyjaciela Konrada, dostał się w jego ręce.

BOROWSKI. He.. he.. Kiedy on był twoim mężem?

WANDA. Milcz!

BOROWSKI. Z przyjemnością mógłbym milczeć, byle-byś w jakiś sposób umiała zażegnać bardzo groźną sytuację... Ten przyjaciel twego syna, zdaje się, wie o wszystkim. Wybrał sobie bardzo efektowną chwile, w której pełnoletność Konrada zostanie ogłoszoną, a w której wszystko twojemu synowi opowie.

WANDA. Zmiłuj się! tylko nie to, nie to! Niech się nigdy o tem nie dowie!

BOROWSKI. He... prędeż, czy później się o tem dowie.

WANDA. A Hanka?

BOROWSKI. Jam już ręce opuścił... Hanką, Hanka, ja bardzo kocham Hankę... (*Zamyśla się*).

WANDA. A on?

BOROWSKI. Kto?

WANDA. Konrad! Konrad!

BOROWSKI. Konrad? A cóż mnie twój Konrad obcho-dzi? Zdawało mi się, że w zbrodni szczęście znajdę, zna-leść go nie mogłem. (*Urywa*). Patrz, tam nasze dzieci powracają z parku, a za nimi ten przeklęty przyjaciel, zwiastun nowych i straszniejszych jeszcze nieszczęść...

Zastona spada.



AKT TRZECI.

SCENA PIERWSZA.

PRZYJACIEL
i KONRAD.

PRZYJACIEL. I rzeczywiście nigdy nie nasunęła ci się ta myśl, dlaczego twój ojciec tak nagle zginął śmiercią?

KONRAD. Nie rozumiem cię.

PRZYJACIEL. Jakto? nie rozumiesz mnie? przecież człowiek może umrzeć wskutek najprostrzego udaru serca, ale praktyka sądowa wymaga, aby ciało zmarłego poddane było sekcji. A śmierć twego ojca nastąpiła w tak nagły niespodziewanie i w taki dziwnie tajemniczy sposób.

KONRAD (*patrzy na niego badawczo*).

PRZYJACIEL (*samyślony*). Nigdy nad tem nie myślałeś, dlaczego cię chowano przez tak długi czas zdala od domu?

KONRAD. Poczekaj chwilkę, jam już sobie nieraz głowę łamał, dlaczego zdala od domu wakacje musiałem spędzać.

PRZYJACIEL. A czyż kiedyś pomyślałeś o przyczynie? Matka cię kocha. Byłeś chowany w najgłębszej miłości dla ojca i czem tłumaczysz to dziwne zachowanie się opiekuna i matki wobec ciebie?

KONRAD (*przestraszony*). Matki i opiekuna?

PRZYJACIEL. No tak, matki i opiekuna. Przecież twoja matka nic bez opiekuna nie zrobi i zrobić nie może.

KONRAD. Coś ty powiedział? Matki i opiekuna. Więc matka moja?

PRZYJACIEL. Nic nie wiem. Tylko to wszystko, takie tajemnicze. To na przykład, że wciąż ci mówiono o twoim ojcu, że nigdy ci jasno przyczyny śmierci twojego ojca nie wyjaśniono. To rzeczywiście ciekawe, bo jeżeli ktoś jakąś zbrodnię popełni, albo jest powodem do samobójstwa, to wtedy jest wiedzion jakimś dziwnym instynktem, by otoczyć zmarłego aureolą świętości i piękności. Takiemu zbrodniarzowi, który zbrodnię pośrednio czy bezpośrednio popełnił, zdaje się, że w ten sposób winę swoją zmaże. Widzisz, bywają takie wypadki, że, dajmy na to, żona w ten lub ów sposób pcha swego męża w śmierć, a po jego śmierci przedstawia dzieciom zmarłego ojca, jako ideał dobroci, piękna i cnoty.

KONRAD (*osłupiały*). Coraz mniej cię rozmiem.

PRZYJACIEL. Nie przestraszaj się zbyt, to tylko przykład z życia codziennego. Bo widzisz, ja dużo katastrof i tragedii w życiu mojem przeżyłem. Na przykład: mój stryj poszedł na wojnę ot he, he, zachciało mu się bawić w taką małą wojenkę, a moja najukochańsza stryjenka, która już od dawna rzucała pożądliwym okiem na włóдаря, nawiązała po odjeździe stryja z panem włóдарzem bardzo bliskie stosunki. No i cóż się dzieje, — mój ukochany stryj wraca pewnej nocy z owej wojenki, która mu się sprzykrzyła, wchodzi pokryjomu do domu, bo lęka się pościgu, zastaje swoją żonę w wcale niedwuznacznym uścisku z włóдарzem swoim, i w oczach drżące i stru-

chlałej pary kochanków, dobywa korda i kładzie koniec swemu nędzemu życiu. A w trzy miesiące później nazywało się, że stryj mój poległ chwałą walecznych na polu bitwy.

KONRAD. A w jaki sposób prawda się wykryła?

PRZYJACIEL. Wcale się nie wykryła. Popatrz tylko troszkę ciekawiej i z większą uwagą na twojego opiekuna.

KONRAD. Co, co ty mówisz?

PRZYJACIEL. Ależ nic, no więc dajmy spokój opiekunowi. Ale może zauważyłeś niepokój twojej matki?

KONRAD. Co, co, opiekun i moja matka. W jakim to związku pozostaje?

PRZYJACIEL. No, w żadnym, w żadnym... Tylko przypadkowo zauważyłem, że matka twoja i opiekun stali tam (*wskazując na salon*) niespokojni z chwilą, gdy wszedłem do tego domu.

KONRAD (*nagle*). Powiedz szczerze. Ty znasz tajemnicę śmierci mego ojca?

PRZYJACIEL. Cóż znowu, ale wracam do mojego stryja. Starszy syn tego włóдаря miał właśnie zostać pełnoletnim i objąć ten, w trójnasób powiększony majątek. Nagle ni stąd ni z owąd, powstaje mu myśl, czy ten ojciec, który nie był wypisany na liście poległych, przypadkowo nie dostał się do niewoli i jeszcze żyje. Rozpytuje się na wszystkie strony i tak powoli dochodzi po nitce do kłębka. Wtedy go widział ten, na drugi dzień ów i tak węszył jak pies ślady zbrodniarza, aż w końcu nie miał już żadnej wątpliwości, a ponieważ był wychowany w najgłębszej miłości ku swemu ojcu

i nie chciał aby majątek zdobyty ręką, która jego ojca w grób wtrąciła, przeszedł w jego ręce, w dniu pełnoletnia spalił doszczętnie cały swój dobytek.

KONRAD. Spalił?

PRZYJACIEL. Tak! spalił!

Milczenie.

KONRAD. A potem?

PRZYJACIEL. Poszedł w świat i nic już o nim nie wiem.

Ale prawda — zapomniałem to jeszcze dodać: ojczym jego, ten wódzarz, miał bardzo piękną córkę; rozkochał się chłopak w niej — wprawdzie stały tu na przeszkodzie rozmaite prawa kościelne i cywilne, by się ta para węzłem małżeńskim związać mogła, ale to dałoby się wreszcie usunąć...

KONRAD. Zlituj się, nie mów już więcej, zimny pot na czoło występuje.

PRZYJACIEL. I cóż ci takiego? nie bądź dzieciakiem.

Czegoś się tak przeraził? Przecież to bardzo prosta rzecz. Jedno ci jeszcze powiem: są ludzie, którzy nigdy nie byliby w stanie połączyć się z córką zbrodniarza.

KONRAD. Dziwne podejrzenia budzą się w mojem sercu. Czekaj tylko... gdym tu przyjechał, matka moja była bardzo niespokojna... opiekun mój przyjął mnie z wyraźną niechęcią... Ten opiekun przysporzył swemi zabiegami i pracą trzecią część dawnego majątku, ten opiekun ma córkę, którą kocham, a znowu ten pasierb twojego wódzarza dowiaduje się w przypadkowy sposób o prawdziwej śmierci swego ojca.... Pozwól tylko, pozwól... Aha! (*patrzy prawie z przerażeniem na swego przyjaciela*).

SCENA DRUGA.

WANDA. A, dzień dobry panu,
jak się panu spało?

WANDA *wchodzi na taras.* PRZYJACIEL *(dotyka zimno jej ręki).* My ludzie pracy zawsze

dobrze śpiemy. A dobry sen,
to jak pani wie, bardzo ważna, ważna rzecz. A pani
przyzna, że nie zawsze ludzie mają dobry sen.

WANDA *(szdziwiona).* A tak, nie zawsze.

PRZYJACIEL. Bo, przyzna pani — aby mieć dobry sen,
trzeba się cieszyć albo silnemi nerwami, albo też
dobrem sumieniem.

WANDA *(patrzy wylekła na niego).* A tak, tak, ma pan
słuszność. Dobre nerwy i dobre sumienie...

PRZYJACIEL *(z nienacka).* Ja na przykład sądzę, że pan
Borowski *(kręci papierosa)* ma dobre nerwy i dobrze
śpi...

WANDA *(przerażona).* Co, co pan mówi?

PRZYJACIEL. Ja, ja nic nie powiedziałem. Znam pana
Borowskiego, zaledwo od dwunastu godzin, ale ośmie-
lam się twierdzić, że pan Borowski ma dobre nerwy,
a więc i dobry sen.

WANDA *(opanowuje się).* Dlaczegoż pan tak nagle wtrą-
cił pana Borowskiego do naszej rozmowy.

PRZYJACIEL. Nie wiem. Ja go nie chciałem zupełnie
do rozmowy wtrącać. Miałem tylko to wrażenie, że
to człowiek, który umie dobrze jeść, pić i spać, choćby
nawet, jaką zbrodnię popełnił.

WANDA. Co? Co pan mówi?

PRZYJACIEL. To moje przeświadczenie, że są ludzie,
którzy mogą siekierą zabić człowieka, a mimo tego do

winy się nie poczuwają i dobrze jedzą, śpią i piją. A przepraszam panią jak najmocniej, że opiekun syna pani, pan Borowski zrobił na mnie to wrażenie, iż mógłby najspokojniej człowieka do śmierci popchnąć i dobrze jeść, pić i spać. Niech mi pani zechce jak najlaskawiej przebaczyć, że to mówię, ale przywykłem być szczerym i zupełnie nie uznaję względów, które innych ludzi krępują... Zresztą, Konrad pani opowie, że takim a nie innym zawsze byłem, a na razie pani wybaczy, że obejrzę sobie fabryki Konrada, bo jak pani wiadomo, jestem mechanikiem z zawodu, i ulepszone urządzenia dokonane przez pana Borowskiego bardzo mnie interesują (*Kłania się i odchodzi*).

KONRAD (*samyślonny*). Miałbym

SCENA TRZECIA.

mamie coś do powiedzenia, ale

KONRAD i WAN-

możeby to mamę dotknęło.

DA. *Milczenie.*

WANDA. Mów, mój synu, mów mi wszystko.

KONRAD. Dlaczego się mama tak przeraziła, gdy mamie wczoraj powiedział, że chętniebym pojął Hanke za żonę?

WANDA. Jakto, ja się przeraziłam?

KONRAD. No, oczywiście. Przecież mama ustawicznie powtarzała, że to nie może być, że to nie może być.

WANDA. Jeżeli to powiedziałam, to tylko dlatego, że jesteście tak, jakby w jakimś stopniu pokrewieństwa. Wychowałeś się z nią razem. Twój opiekun był tobie, że tak powiem ojcem, no i dlatego na razie przeraziła mnie ta myśl, że mógłbyś wziąć Hanke za żonę.

KONRAD. Ale ja, kochana mamó, zauważyłem, że od chwili mego przyjazdu, mama niechętnem okiem patrzy na Hankę.

WANDA. Ja niechętnem okiem, ależ ja ją wychowałam.

KONRAD. Dobrze, moja mamó, dobrze, ale dlaczegoż ta nagła niechęć?

WANDA. Niechęć? Żadna niechęć. Tylko tak się przyzwyczaiałam uważać ją za córkę, że związek wasz wy-dawałby mi się czemś w rodzaju kazirodztwa.

KONRAD. To mama bardzo pięknie powiedziała. Uznaję moc przyzwyczajeni i tam dalej, ale chyba sobie mama zdaje z tego sprawę, że między mną a panną Borowską niema najmniejszego pokrewieństwa.

WANDA (*smięszana*). No, tak, tak, nie ma. Ale moc przyzwyczajenia.

KONRAD. To wszystko takie dziwne.

WANDA. Co jest dziwne?

KONRAD. Niech mama pozwoli: Więc ojciec poszedł z fuzyą do lasu i został tam zabity. Ja przez dziesięć lat nie mogłem przyjechać na wakacje do mego domu, opiekun mój, który ma swoją wieś tuż obok, mieszkał zawsze przy mamie — mama Hankę uważa jako swoją córkę — opiekun odnosi się z niechęcią ku mnie, co to ma wszystko znaczyć?

WANDA. Wstydz się, wstydz, żeby jakiegokolwiek podejrzenie rzucać na matkę swoją i na człowieka, który w trójnasób przysporzył ci majątku.

KONRAD. Ja, moja mamó, pluję na cały majątek. Ja pragnąłbym się dowiedzieć o tajemniczej śmierci mego ojca.

WANDA. Ale ta śmierć wcale tajemniczą nie była.

Został zabity w lesie przez kłusowników i to wszystko.

KONRAD. Ależ kochana mamó, ja wiem, że kłusowników nie było w naszym lesie... (*Nagle*). Czy mama Borowskiego już dawno zna?

WANDA. Przecież ci już tyle razy mówiłam, że był najbliższym przyjacielem twego ojca.

KONRAD (*wstaje nagle*). Niech mnie mama wytłomaczy, skąd się wzięła ta nagła niechęć ku Hance? O ile wiem bardzo mama ją kochała, ale z chwilą kiedym okazał to serdeczne, gorące przywiązanie do Hanki — mama się całkiem dla Hanki zmieniła.

WANDA. Ale dziecko, co ty mówisz.

KONRAD. Nie mamó, pamiętam dobrze z listów mamy, jaką mama była dla Hanki dawniej, a teraz.

WANDA. Mylisz się, mój synu.

KONRAD. Nie mamó, ja się nie mylę. (*Po chwili*). Czy pan Borowski był rzeczywiście takim dobrym przyjacielem mojego ojca?

WANDA. No, jeżeli go zrobił opiekunem, to chyba najlepszy dowód na to.

KONRAD. Ależ moja mamó, jeśli mój ojciec zmarł nagłą śmiercią, to nie mógł pozostawić ani testamentu ani opiekuna.

WANDA (*zmięszana*). Widocznie musiał przeczuwać swoją śmierć, jeśli testament zostawił.

KONRAD. A może, moja mamó, on wcale nie przeczuwał, bo przeczuwać nie potrzebował; bo ludzie w pewnych chwilach wiedzą jasno, co robią.

WANDA. Co ty mówisz? Więc sądzisz, że samobójstwo?

KONRAD (*twardo*). Tak!

Milczenie.

WANDA (*przerazona patrzy na syna*). Więc ojciec twój miałby samobójstwo popełnić! Dlaczego?

KONRAD (*spokojnie*). Nie wiem.

WANDA (*podchodząc ku niemu*). Ale zmiłuj się, ty jesteś chory, skąd się takie podejrzenia u Ciebie biorą?

KONRAD (*patrzy przeciągle na wystraszoną matkę; zmęczony*). No, niech mi mama szczerze powie. Przecież ten mój opiekun jest właściwie moim ojczymem, nieprawda? i niech mama mojej duszy nie niszczy. Mama wie, że od dziecka kocham Hankę, niech tylko mama pomyśli, co to za straszliwe tragedje: ja biorę Hankę za żonę z tem przeświadczeniem, że ojciec jej był przyczyną śmierci mego ojca, którego tak ukochałem, którego tak w duszy noszę... Niech sobie mama wyobrazi, że chociażbym nie miał najmniejszej pewności, to... to jedno podejrzenie wystarczy, żeby mnie i jej życie zniszczyć. (*Nagle*). Mama musi coś wiedzieć o tej śmierci!!

WANDA (*coraz więcej przerażona*). Lękam się ciebie.

KONRAD. Lęk, lęk? Jaki to piękny parawan, za którym kobieta schować się może. Jeżeli matka ma troszkę miłości do mnie, to nie powinna mi życia niszczyć. Ja Hankę kocham, a biorąc ją za żonę mogę ją i siebie tem zamęczyć, że ojciec jej jest przyczyną strasznej śmierci mego ojca.

WANDA (*wybucho głośnym płaczem*).

KONRAD (*szarpie ją za rękę*). Ty wiedziałś o tem?!

WANDA (*placze coraz więcej*).

KONRAD. Wiedziałas o tem?!

WANDA (*srywa się nagle*). Precz, wyrodny synu, który śmiesz rzucać takie podejrzenie na twoją matkę.

KONRAD (*ze złośliwym uśmiechem*). Tem oburzeniem mama mnie nie zaszachuje. Zdaje mi się, że już całą prawdę wyłowilem. (*Zamyślony*). Przepraszam mamę, za moje wybuchy, jeszcze jestem młody, a to jakieś głupie, młodociane porywy, ot takie hamletowskie idiotyzmy, by mścić śmierć ojca. Ach! tu nie chodzi o jakąś zemstę, tu przedewszystkiem waży się los kilkoro ludzi... mamó, mama wie, że ja mamę kocham, a przyznaję się szczerze, nienawidzić poczynam los biednej, nieszczęśliwej Hanki, którą mimowoli musiałbym zniszczyć i los mój... mniejsza o to... (*Nagle*). Borowski był przyczyną śmierci mego ojca?!

WANDA (*srywa się*). Nie, stokroć razy nie!

KONRAD (*cicho*). He, he... Przewidywała to mama?

WANDA (*cofając się przerażony*). Tyś oszalał.

KONRAD. Jestem upewniony, że opiekun (*gorzko*), a raczej ojczym mój zapędził mego ojca w grób. Chciałbym się tylko dowiedzieć, czy kobieta, która jest moją matką i którą za świętą uważałem, miała w tem jakiś udział.

WANDA (*prostuje się*). Jak śmiesz takimi słowy do matki przemawiać?

KONRAD (*spokojnie*). Ja prócz matki, miałem jeszcze ojca, którego ubóstwiam i uwielbiam.

WANDA. A któż cię wychował w tej czci dla ojca?

KONRAD. Mama nie, bo mamy dziesięć lat nie widziałem. Pan Schimer w Brukseli, który ojca nade wszystko kochał.

WANDA. A kto mu dał polecenie, aby ci ustawicznie o ojcu mówił.

KONRAD. Może złe sumienie mojego opiekuna, a może mojego ojczyrna?

WANDA (*szrywa się przerażona*). Synu, Konradzie, co ty mówisz?

KONRAD. Przepraszam mamę, przepraszam... jestem trochę zirytowany, zresztą to nie moja wina, chciałbym zbadać tajemnicę, (*wybuchając*) która nie tylko mnie samemu życie zniszczyć może.

WANDA. Oh! ten przeklęty twój przyjaciel. Dlaczegoś wprowadził w mój dom wroga twej matki?

KONRAD. On mamy wrogiem?

WANDA. Wróg, wróg — przeklęty wróg!

KONRAD (*całuje ją w rękę*). No, dajmy spokój tej rozmowie. Pewnie już tajemnicy nie zdołam rozwiązać. Nie będę już nigdy drażnił mamy mojami podejrzeniami. Ale niech mama teraz się uspokoi i ja się uspokoję, tylko muszę pozostać sam ze sobą, a przyrzekam mamie, że nie będę już myślał o tem o czem teraz mówiliśmy.

WANDA. Przyrzekasz mi moje dziecko? Nie będziesz miał już tych potwornych podejrzeń. (*Całuje go*). Gdybyś ty wiedział, jak ja cię kochałam i Kocham. (*Nagle*). Twego ojca w tobie Kocham, pomnij na to!

KONRAD. Mojego ojca? No, dobrze, dobrze, moja mam. Ale ja teraz muszę pozostać sam.

WANDA (*pieszczotliwie*). A nie będziesz już słuchał złych podszeptów twojego przyjaciela?

KONRAD. Nie, nie droga mamó. Są rzeczy, które się przemilcza, bo dociekanie prawdy zbyt bolesne... Ale teraz proszę mamy, abyś zechciała mnie zostawić w spokoju. Jestem bardzo rozdrażniony, mógłbym jeszcze więcej zranić serce mamy. (*Całuje ją w rękę*). Do widzenia, droga mamó.

WANDA (*boleśnie*). Konrad!

KONRAD. Ale przecież ja mamę głęboko kocham, tylko muszę się teraz uspokoić.

WANDA (*odchodząc*). A nie będziesz już takich ohydnych rzeczy mówił?

KONRAD. Może mama być pewna... Tylko, tylko się troszkę uspokoję, nie mogę już z mamą mówić.

SCENA CZWARTA.

WANDA *wychodzi*; KONRAD *całuje jej z głębokim szacunkiem ręce, po odejściu matki, siedzi sam na werandzie, — obrywa bezwiednie liście dzikiego wina, oplatające werandę. Zapala papierosa, — przechadza się nerwowo po werandzie i siada zamyślony na kamiennych schodach. Z jadalnego pokoju wchodzi do salonu HANKA, przystaje i patrzy niespokojnie na Konrada, nagle podchodzi do fortepianu, uderza kilka akordów. Konrad jak ze snu zbudzony nadstuchuje, wbiega do salonu, i wprowadza Hankę na werandę.*

KONRAD. Toś ty Hanuś! Ach! jak dobrze żeś przyszła!

HANKA. Co ci się stało, Konrad? Nie chciałam podejść

do ciebie. Byłeś tak zamysłony, iż mi się zdawało, że śpisz z otwartymi oczyma.

KONRAD. Nic, nic, Hanka, takie mnie jakieś złe myśli opadły. (*Nagle*). Hanuś kochasz ty mnie trochę? (*coraz bliżej*) troszeczkę? (*Hanka milczy s przerażeniem oczyma*). Hanuś, chciałabyś ty zostać moją żoną? (*Hanka drży cała*).

KONRAD. A wiesz ty, co to znaczy być żoną?

HANKA (*coraz więcej smieszana*).

KONRAD. Ależ powiedz mi Hanka, powiedz dziecko złote.

HANKA. Kocham cię. Zawsze cię kochałam.

KONRAD (*zamysłony*). I — będziemy szczęśliwi ze sobą?

HANKA. Jam zawsze szczęśliwa, gdy cię widzę i mam cię przy sobie.

KONRAD (*popadając w coraz głębsze samyślenie*). Słuchaj Hanuś, tu nie można być zawsze szczęśliwym. Może to prawda, że człowiek własnymi rękoma szczęście sobie buduje, ale mogą zajść rozmaite komplikacje, mogą zajść w duszy podejrzenia, które to szczęście zabijają.

HANKA (*prostuje się*). Co podejrzenia? Czyżbyś mnie mógł o coś podejrywać. (*Stając się nagle kobietą*). Mnie, która nigdy nic poza tobą nie widziałam, mnie która moją całą duszą tak przylgnęłam do ciebie... Mnie... mnie...

KONRAD. Ale Hanko, uspokój się. Ty jesteś czysta, jak łza. Czuję, jak twoje serce dla mnie tylko bije. Przecież czujesz, jak cię całą duszą kocham. Nie

śmiałybym cienia podejrzenia na ciebie rzucić. To nie to, to nie to.

Chwila milczenia.

KONRAD. Hanuś będziesz szczerą? Odpowiesz mi na wszystkie pytania?

HANKA. Patrz, tu niosę ci moje serce w moich rękach. Możesz je zbadać i przeniknąć do głębi.

KONRAD. Słuchaj Hanka! (*coraz tkliwiej*). Ty mnie już teraz mogłabyś uważać za męża, bo ja innej kobiety prócz ciebie nie znam i znać nie chcę. A widzisz, jeżeli nasz stosunek ma być rzeczywiście pięknym, to wtedy nie ma już tajemnicy między dwojgiem ludzi, którzy się kochają. Prawda? Co? (*Tuli jej ręce w swoich rękach*).

HANKA (*szdziwiona*). Prawda, prawda.

KONRAD (*po chwili namysłu*). Widzisz, jeżeli ci przykrego coś powiem, to mi wybac. Jestem bardzo nieswój, bom ogromnie dużo w ostatnich czasach pracował i jestem trochę przemęczony. A w ostatnich dniach, opadają mnie jak złośliwe muchy, rozmaite maniackie myśli. Wybac, że ci o tem mówię, ale ja bym chciał, abyś cały stan mej duszy znała, nim żoną moją zostaniesz.

HANKA (*pieści jego ręce*). Mów, mów mi wszystko.

Milczenie.

KONRAD. Więc ty widziałaś, jak ojciec mój płakał w altanie w przededniu swojej śmierci?

HANKA (*szdziwiona*). Ale, ja ci to już wczoraj opowiadałam.

KONRAD. No tak, tak — ale powiedz mi — wprawdzie

byłaś wtedy dzieckiem, ale dzieci najlepiej obserwują...
Czy śmierć mojego ojca wywarła wielkie wrażenie
na twojego ojca a mego opiekuna i na matkę moją?

HANKA (*patrzy na niego, nie rozumiejąc*).

KONRAD (*bierze ją łagodnie za rękę*). Nie bądź tak
przerażona, przecież jestem przytomny.

HANKA. Przyznam ci się, że teraz boję się ciebie.

KONRAD. Nie, nie bój się. Tylko chciałbym rozwią-
zać w mojem sercu i mózgu jakąś zagadkę, która
może nie jest zagadką, ale, która mnie truje i męczy.

HANKA (*ze strachem*). Mów, mów wszystko.

KONRAD (*milczy chwilę*). Słuchaj Hanka, dzisiaj roz-
mawiałem z moim przyjacielem...

HANKA (*przerywa mu*). Wiesz, ja się tak lękam, tak
lękam tego twego przyjaciela. To ten sam lęk, jaki
doznaję przed czemś obcym, niezbadanym, to ten
sam lęk, który mam przed tą ciemną dla mnie po-
łową twojej duszy, tą połową, której nie znam, o której
nie mam wyobrażenia.

KONRAD (*patrzy na nią głęboko zdumiony*). Nie rozu-
miałem cię, Hanuś.

HANKA. Bo widzisz, ty masz połowę duszy pogodnej,
a druga jest jak sam mówisz: czarna i ponura. I to
dzisiaj, podczas tej bezsennej nocy, nagle opadła mnie
ta myśl, że ta druga połowa twojej duszy, ta jej ciemna
głębia, nie do mnie należy, ale do twego przyjaciela.
I miałam taką straszną wizję, jakbyś na dwoje był roz-
szczepiony. Ach! Konrad! Konrad! jak ja się męczę!

KONRAD (*obejmuje ją i tuli do siebie*). Hanuś, Hanuś!
uspokój się! To przywidzenie zmęczonych bezsenno-

ścią nerwów. Uspokój się i posłuchaj mnie. Otóż przyjaciel opowiadał mi taką dziwną historję o swoim stryju i włódarzu. Ten stryj poszedł na wojenkę, potem z wojenki powrócił; ale ponieważ stryjenka tymczasem włódarza pokochała, a on włódarz przeświadczony, że żadna kara go nie spotka, jeżeli pan legnie na swem własnem polu, zamiast na polu sławy...

HANKA. Bój się Boga, co ty za rzeczy dzisiaj mi opowiadasz?

KONRAD. Coś taka przestraszona? Włódarz pokochał panią, najprostszy wypadek się stał. Pana nie było w domu, można było sądzić, że poległ w szeregach bohaterów. Przypadkowo wrócił żywy i cały do swego gniazda, a zastawszy swą żonę w objęciach włódarza, sam sobie życie odebrał. Ale można było spokojnie twierdzić, że poległ, czy zginął na polu bitwy, czy się gdzieś podział...

HANKA. Dokąd ty zdążasz? co to wszystko ma znaczyć?

KONRAD. Hanuś, proszę cię słuchaj mnie spokojnie. Tu chciałbym roztrząsać nie kwestyę życiową, ale kwestyę sumienia — jakiejś przyrodzonej, niepojętej miłości do ojca, którego się straciło... Ta dziwna miłość, która wendettę wytworzyła, bo wiesz, że za zabójstwo jakiegoś członka rodziny, na Korsyce, całe rodziny się wytępiają nawzajem. (*Chwila milczenia*). Widzisz, ten włódarz miał córkę, którą pasierb włódarza, całą siłą swej młodej duszy pokochał i wystaw sobie, coby się było stało, gdyby on pasierb poślubił córkę człowieka, który był przyczyną śmierci jego ukochanego ojca?

HANKA (*zrywa się*). Skąd cię takie piekielne myśli opadły, Konrad!

KONRAD. To nie piekielne myśli, to się często w życiu zdarza. (*Chwila kamiennego przerażenia*). Czy sądzisz, że dajmy na to, kobieta jak ty szlachetna, piękna i dobra, mogłaby żyć z człowiekiem, którego ojciec zginął z winy jej ojca?

HANKA (*pobladła jak trup*). A... teraz rozumiem. Wszystko zrozumiałam. (*Chwyta się za głowę*). Chryste Panie! Więc ty posądzasz mego ojca, że on twego w grób wtrącił?

KONRAD (*nieprzytomny*). Tak, tak!

HANKA (*pada na ziemię*).

Kurtyna spada.

.

.

.

.

.

.

.

.

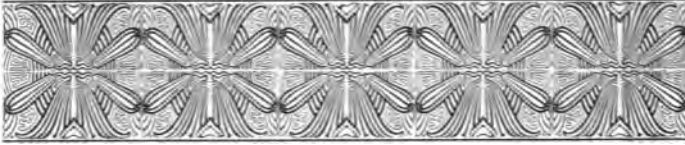
.

.

.

.

.



AKT CZWARTY. WANDA (*tajemniczo*). Zmiłuj się,
SCENA PIERWSZA.

Wszystkie pokoje jasno o-
świetlone. Muzyka w salo-
nie; w jadalni stół zasta-
wiony, — gwar i wesołe
rozmowy.

BOROWSKI *siedzi
na werandzie z głową
opartą na rękach, głę-
boko zadumany. —
Na werandę wchodzi
WANDA i nagle spo-
strzega Borowskiego*.

co ty robisz, może sobie sprawy z tego nie zdajesz, jakie wrażenie robi dziwne twoje zachowanie.

BOROWSKI. Jakie zachowanie?

WANDA. No przecież goście muszą coś rozumieć, jeżeli uciekasz, kryjesz się w parku, lub siedzisz na werandzie, do mnie się nie odzywasz...

BOROWSKI. Goście nic nie rozumieją. To tylko złe sumienie rozumie.

WANDA. Złe sumienie? Czyje?

BOROWSKI (*złościwie*). Czyje?... Chyba twoje musiało to wszystko zrozumieć, przecież mnie szukasz i niepokojnie śledzisz na każdym kroku.

WANDA. Więc koniecznie chcesz zniszczyć twoje i moje życie?

BOROWSKI. He... he... Życie? Co to znaczy? Chcesz żyć, ja ci w tem nie przeszkadzam, a moje życie dawno się już skończyło.

WANDA (*gwałtownie*). Od kiedy się skończyło? Od kiedy?

BOROWSKI. Czemu się pytasz o to, przecież nikt lepiej tego niewie od ciebie.

WANDA (*oburzona*). Dlaczegoś mi kłamał? obiecywałeś mi raje, a teraz trup po moim domu chodzi...

BOROWSKI. Jako trup?

WANDA. No, przecież od śmierci mego męża, ty przestałeś żyć. Od dziesięciu lat zagłuszam się pracą a nic to nie pomogło, tylko nuda, straszna nuda w twojem sercu, którąś sobie teraz zappełnił nienawiścią ku memu synowi.

BOROWSKI. Tak, to prawda.

WANDA (*chwytą go za ręce*). Dlaczego nienawidzisz mego syna?

BOROWSKI. Nie mów tak głośno, bo lada chwila ludzie na werandę wejść mogą.

WANDA (*zdyszana z hamowanej gwałtowności*). Powiedz, dlaczego nienawidzisz mego syna?

BOROWSKI (*zrywa się, syczącym głosem*). Dlatego, że cię kochałem... dlatego, że on męża twego przypomina... Dlatego, że on jest krew z jego krwi, kość z jego kości... Dlatego, że przez ciebie, matkę jego, ta zbrodnia się stała.

WANDA. Jezus Marya! Jaka zbrodnia?

BOROWSKI He... he.. he... Teraz się pytasz, jaka zbrodnia. (*Podchodzi ku niej, z złośliwym szeptem*). A powiedz, dlaczego ten mąż twój, pan Okoński zastrzelił się?

WANDA (*cofając się*). Czemu on się zastrzelił?

BOROWSKI. He... he... he... Czemu on się zastrzelił? Chcesz, chcesz, to ci powiem dlaczego. Ale zdaje mi

się, że nie potrzebuję ci tego mówić, bo przecież sama wszystko wiesz...

Milczenie.

BOROWSKI. Wiesz czemu?... wiesz?

SCENA DRUGA. BOROWSKI (*z sztucznym uśmiechem*). Huzia — huź! Kto kogo dogoni... Hej! hej! A gdzie mi się Hanka podziała? (*Wesoły krzyk z głębi parku*). W chowanego się bawi, znajdziemy ją,

Z salonu wybiega kilka par ze śmiechem i hałasem do parku.

znajdziemy!

BOROWSKI (*do Wandy*). I co teraz? twój syn kocha moją córkę... tak ślepą nie jesteś, aby tego nie widzieć. No, poradź teraz coś, poradź —!

WANDA. Co ja nieszczęsna poradzić mogę.

BOROWSKI (*po namyśle*). A czyś ty знаła tego pana Schimera z Brukseli?

WANDA. Kogo?

BOROWSKI. No? tego pana, który twego syna chował w największej miłości, w największym uwielbieniu dla twego męża.

WANDA. Co, co, nic nie rozumiem.

BOROWSKI. Poczekaj, to ci to zaraz wyjaśnię. (*Złośliwym, szatańskim uśmiechem siada przy niej*). Otóż widzisz, moja Hanka wypaplała się przedemną, widziała twego męża dzień przed śmiercią, jak płakał, a w ten sam dzień zostało wysłanych kilka listów do przyjaciół twego męża za granicę. A ten przyjaciel twego męża, którego opiece polecono twego syna... Jeszcze nie rozumiesz?

WANDA (*skamieniała*). Rozumiem...

BOROWSKI (*podsuwa się jeszcze bliżej*). I ten jego przyjaciel, który się zjawił, właśnie wczoraj, ten najukochańszy uczeń Schimera... Rozumiesz?

WANDA (*jak wyżej*). Rozumiem.

Milczenie.

BOROWSKI. Hanka stracona, ale Konrad nie, oj nie...

BOROWSKI (*z goryczą*). Jak to

SCENA TRZECIA.

Z parku odgłosy: Husia, huś, huś, huś. — Prsebiegają przez werandę zdyszane pary: „gdzie Hanka, gdzie Konrad?”

dobrze, że młodych bawić nie potrzebujemy. Nasze smutne miny mogłyby zdradzić, co się w naszych duszach dzieje.

WANDA. I ty sądzisz, że ten piekielny przyjaciel...

BOROWSKI. Ja nic nie sądzę, ja wiem. Tych rzeczy nawet prze-

czuwać nie potrzeba, to wszystko się wie.

WANDA. A co sądzisz, co Konrad, Konrad?

BOROWSKI. Konrad, łudzisz się jeszcze chwilę, co Konrad robi. Możem zły, że ci to mówię, co ci teraz powiem, ale ani na sekundę nie wątpię, że tobie i mnie z najwyższą pogardą splunie pod nogi i odejdzie z swoim przyjacielem.

WANDA (*prserażona*). To nie może być, to nie może być.

BOROWSKI. Ale to będzie i to się stanie. Kobieta się lęka tego, co nieuniknione, chce się ratować przed koniecznością, ale my mężczyźni spokojniej na to patrzymy. (*Cicho przysuwając się do Wandy*). W jakich zamiarach ten przyjaciel właśnie w tym czasie przy-

jechał, nie wiem. Ale trzyma w zanadrzu całą setkę złowrogich planów, które nam zgubę grożą: tobie i mnie. Niewiem dlaczego tak długo zwlekają, by twemu synowi odkryć tajemnicę, niewiem, jakie ukryte cele mieli ci ludzie, którzy przed twoim synem ukrywali dotychczas naszą zbrodnię.

WANDA (*z wykrzykiem*). Zbrodnię?!

BOROWSKI. Oczywiście, że to było zbrodnią. Człowiek, który cię bardzo kochał, przekonawszy się o twojem wiarołomstwie, byłby mi mógł spokojnie w łeb huknąć, ale był na to za mądry.

WANDA. Cicho... cicho... cicho...

BOROWSKI. Dlaczego ja mam być cicho, ja tylko stwierdzam prosty fakt. Twój mąż był bardzo rozumny człowiek. Cóżby mu było z tego przyszło, żeby mnie zgubił. Zyskałby przez to twoją miłość? He?

WANDA. Zmiłuj się... milcz... milcz...

BOROWSKI (*szjadliwie*). Och, jakie wy kobiety hypokrytki. Czy nie jesteś rzeczywiście w stanie pojąć takiego szlachetnego czynu, jak czyn twego męża? Powiedział sobie: Cóż? Kobiety, która kocha innego, gwałcić nie będę. Bez niej żyć nie mogę. Nic w tem znowu tak bardzo bohaterskiego, tylko rozsądny krok mądrego człowieka. (*Po chwili ponurego, złośliwego milczenia*). Takim bohaterem twój syn nie będzie. Nie... Nie... Nie...

W parku odgłosy: Ho-hop... Ho-

SCENA CZWARTA. *hop! Konrad! — głosy kobiece:*

Hanka! do tańca!

W salonie roi się od młodzieży, słychać tony walca).

JEDEN Z MŁODZIEŻY (*wchodzi na werandę*). Ciociu!
Ciociu! Odbito mi wszystkie damy. Niech ciotuchna się nademną zmiłuje, bo będę wyglądał, jak ostatni niemrawiec. Ciotuchna taka młoda, taka piękna, że zaćmić może wszystkie dziewczęta.

WANDA. Ależ dziecko, mnie się tańczyć nie chce, ja taka zmęczona.

MŁODZIENIEC (*ciągnie ją natarczywie*). Moja droga, kochana ciociu!

WANDA. No, niech już i tak będzie, przypomnę sobie moje młode, młode lata.

MŁODZIENIEC. Co też ciocia mówi! ciocia piękniejsza od tych panienek, co się w kółko kręcą. (*Zwraca się do Borowskiego*). A pan, drogi panie, nie wejdzie pan z nami?

BOROWSKI (*żartobliwie*). Ho, ho, stare już nogi, padagra... Szczęśliwy jestem, że się tak bawicie, ale mnie już do waszych zabaw nie wciągajcie.

MŁODZIENIEC (*kłania się*). Ej pan żartuje. Ale ciotuchno, chodźmy już, chodźmy. (*Wychodzą*).

SCENA PIĄTA.

BOROWSKI *chwilę sam na scenie, patrzy ponuro w park, jakby czegoś ostatecznego stamtąd wyczekiwał. Powoli zbliża się z parku PRZYJACIEL i wchodzi na werandę*.

BOROWSKI (*sztyderczo*). No, cóż pan tak stroni od towarzystwa; przecież to uroczystość, na którą pan umyślnie aż z Brukseli zjechał.

PRZYJACIEL (*kręcąc papierosa*). Ja nie zjeżdżałem na żadne uroczystości. Jam się tylko mocno przywiązał

do mojego przyjaciela Konrada, a ponieważ on jest sam, samiuteńki, a ja znając rozmaite tajemnice jego domu... hm... hm...

BOROWSKI. Jakie tajemnice? Czyś pan oszalał? Co za tajemnice?

PRZYJACIEL. No, to nie są właściwie tajemnice, dla pana n. p. dla matki Konrada, to tajemnicą nie jest. (*Patrzy bystro, zimno na Borowskiego*). O, jakieś pan nagle zbladł. No, i co panie? Będziemy się dalej bawić w ślepą babkę, podoba się panu ta gra? (*Patrzy z zimnem szyderstwem na Borowskiego*).

BOROWSKI. Owszem, nawet bardzo. Od pierwszej chwili gdy pana zobaczył, zrozumiałem, że mam z dowcipnym człowiekiem do czynienia.

PRZYJACIEL. Eh panie, co tam długo gadać. Panu, jako ojcu, musi zależeć na szczęściu dziecka, a ja mówię bez ogródek, przyjechałem jako przyjaciel Konrada i to proszę pana no, jakby to powiedzieć... (*rozmyślnie przeciąga*). Otóż, kochany panie, wszak ani pan, ani ja nie chcemy rzeczy w bawelnę owijać. Przyjechałem po prostu Konradowi powiedzieć, że właściwie pan jest przyczyną tej niby tajemniczej śmierci jego ojca.

BOROWSKI (*zrywa się przerażony*). Co? coś pan powiedział?

PRZYJACIEL (*zapalając papierosa, który mu ustawicznie gaśnie*). Chyba dosyć wyraźnie powiedziałem to, co miałem do powiedzenia.

BOROWSKI (*z przestraszeniem*). Skąd pan to wiesz?

PRZYJACIEL. Ja o tem już dawno wiedziałem. Pan

Schimer pokazał mi listy swego najbliższego przyjaciela a ojca Konrada. Przyjechałem tutaj, bo Konrad ustawicznie majaczył o córce pańskiej, przekonałem się, że Konrad rzeczywiście ją kocha, no i nie bierz mi pan za złe, że nie pragnąłem, by Konrad połączył się z córką tego, który ojca jego w grób wtrącił.

BOROWSKI (*patrzy długą chwilę na przyjaciela, nagle*).

Pan tego Konradowi nie powiesz?!

PRZYJACIEL. Owszem, dziś jeszcze powiem.

BOROWSKI. Czyś pan oszalał? Przecież to zniszczy nas wszystkich.

PRZYJACIEL. Zniszczy... co to znaczy zniszczy?

BOROWSKI. No wiem, wiem, że panu nic na nas nie zależy. Ale Konrad, cóż Konrad, którego pan jesteś przyjacielem, którego, jak mówisz, tak kochasz?

PRZYJACIEL. Ależ, ja przecież po to przyjechałem, aby Konrada wyzwolić z tego marnego życia, żeby go uwolnić od tej męki, by się miał połączyć z córką zbrodniarza.

BOROWSKI (*zrywa się przerażony*). Co? zbrodniarza? Jak śmiesz pan to mówić? Jakiem prawem mogłeś pan to powiedzieć?

PRZYJACIEL (*spokojnie*). Prawem tego, co wiem, a o czym się jeszcze zdołałem naocznie przekonać.

BOROWSKI (*drży i blednie*).

PRZYJACIEL (*z jeszcze zimniejszym spokojem*). Tylko się pan nie wzruszaj zbyt mocno. Pan, jako mężczyzna musi być na tyle odważnym, by ponieść konsekwencje tego, co popełnił.

BOROWSKI (*złamany milczy*).

PRZYJACIEL. Pan przyzna, żeś pan popełnił wprost łotrstwo. Rozumiem, żeś pan jej i swoje wyrzuty sumienia zagłuszyć chciał. Ale nie było obrzucać błotem swej ofiary. Nie było jej mówić, że mąż jej odebrał sobie życie wskutek malwersacji pieniężnych, albo choroby nieuleczalnej. (*Wstaje groźny*). Prawda, czy nie?

BOROWSKI (*zupełnie słamany*). Prawda.

PRZYJACIEL. Teraz pan rozumie, dlaczego ja Konradowi całą tajemnicę wyjaśnić muszę i nie pozwolę, aby Konrad wziął Hankę za żonę. Czyż pan nie rozumie tej potworności, gdyby córka Pańska została żoną Konrada, którego ojca Pan — Pan w śmierć wepchnął.

HANKA (*wchodzi smutna i samy-*

SCENA SZÓSTA

ślona z parku na werandę, rozgląda się i jakby przeczuciem

tknięta na widok ojca z przyjacielem razem, patrzy wyłękła to na ojca, to na przyjaciela, wreszcie podchodzi do Borowskiego). Co tato taki zmieniony? Czy tato nie chory?

BOROWSKI (*postarzały i zgnębiony patrzy na nią przez chwilę wół nieprzytomny, potem zwolna wstaje, całuje w czoło*). Moje biedne, nieszczęśliwe dziecko.

HANKA (*przerażona patrzy znowu raz na ojca, raz na przyjaciela, który jak zawsze spokojnie papierosa pali*). Co to ma znaczyć?

BOROWSKI (*całuje ją znowu, wskazuje na przyjaciela*). On ci to wszystko wyjaśni. (*Schodzi zwolna słamany z werandy w głąb parku*).

SCENA SIÓDMA.

HANKA (*bezradna patrzy za odchodzącym ojcem, potem zwraca się do przyjaciela*). Cóż mi pan ma

powiedzieć? Co ojcu memu się stało, co? Mów pan, mów! Powiedz mi pan wszystko!

PRZYJACIEL (*patrzy na nią głęboko zamyślony i milczy*).

HANKA. Mów pan, mów, na Boga! Dlaczego tak mnie strasznie dręczycie. Com wam zawiniła? Od chwili, jak Konrad przyjechał, prawie że oka nie zmrużyłam. Tu słyszę jakieś niejasne, straszne słowa, tam zawsze coś złowrogiego, niedopowiedzianego... Czyż pan nie może zrozumieć, co to za tortury?!

PRZYJACIEL (*głęboko w siebie wpatrzony*). Bardzo dobrze rozumiem.

HANKA. No więc, nie męcz mnie pan dłużej. Mów pan, proszę, błagam pana! Ja czuję, że w tym domu, jakaś tajemnica się kryje, że jakieś nieszczęście nad nim wisi... Ja to od dawna, od dziecka czuję. Wiem i czuję od chwili, jak pan do domu tego wszedł, że pan tę tajemnicę zna, że teraz się wszystko załamie. Mów pan, mów wszystko!

PRZYJACIEL (*patrzy na nią głęboko, nagle z wielką litością*). Bardzo mi pani żal... Pani rzeczywiście kocha Konrada?

HANKA (*z mocą*). Kocham, kocham, kocham! (*Nagle prsierażenie znowu ją ogarnia*). Powiedz mi pan tylko tę tajemnicę, powiedz, chociażby to był wyrok śmierci dla mnie... (*Cofa się z śmiertelnym lękiem*). Powiedz pan! Powiedźże wreszcie wszystko!

PRZYJACIEL (*znowu zimny*). Powiem. (*Po chwili cięś-*

kiego milczenia). Pani nie mogłabyś żyć z synem człowieka, którego przyczyną śmierci byłby ojciec pani?

HANKA (*chwytą się za głowę*). Boże! Boże! Więc to prawda? (*Wybuchą błędnym, rozpaczonym śmiechem*). (*Z salonu dochodzą wesole toasty. Widać gości, którzy kręgiem otoczyli Konrada*).

MŁODZIENIEC (*w salonie*). Panie i Panowie! Północ wybiła! Rozpoczął się dzień nowy! Piję zdrowie Konrada, dla którego nowe życie dziś się rozpocznie, bo jako pełnoletnie, jako dziedzic wielkiego mienia, wszedł dziś w grono najpoważniejszych obywateli kraju, wziął na swoje barki wielkie wobec społeczeństwa obowiązki. Niech mu Bóg dopomaga! Crescat, vivat et floreat!

(*Przez oszkloną werandę widać KONRADA silnie i nie-naturalnie podnieconego. Podnosi kieliszek w górę i mówi donośnym głosem*). Tak! Pójdę śladami ojca! Będę służył krajowi i społeczeństwu! Będę pracował jak prosty robotnik moich fabryk. Złączę się z nimi, jak z braćmi, aby podnieść i wyjaśnić ich ciężką dolę. A teraz panowie oświadczam wam wieść, którą wszyscy z radością przyjmiecie, bo rozumiecie, że tam jedynie moje szczęście; przy mym boku stanie, jako moja żona i współpracowniczka, piękna i szlachetna i nad wszystko przezemnie ukochana kobieta, panna Hanna Borowska.

MATKA (*przerażona*). Jezus Maryja!

WSZYSCY. Hanka! Hanka! Gdzie Hanka?

KONRAD (*ogląda się niespokojnie, nagle, jakby przebudzony*). A więc pijcie teraz na nasze zdrowie, a ja pójdę szukać mojej ukochanej. (*W salonie muzyka i gwar podochoconej młodzieży. Konrad idzie przez mroczną werandę do parku*).

PRZYJACIEL (*przytłumionym głosem, jakby wobec chorej*). Nie szukaj Hanki, Hanka tu siedzi.

KONRAD (*wraca i przypada do Hanki*). Hanuś, co ci jest? Dlaczego nie wejdiesz do salonu, wszyscy cię szukają. (*Bierze ją za rękę*). Słuchaj, od dziś dnia stajesz się moją panią, przyszłą żoną i współpracowniczką. Będziemy w miłości i szczęściu pracowali i razem pójdziemy świętą i wielką drogą, po jakiej szedł mój ojciec. A teraz chodź moja najukochańsza, aby się wszyscy przed przyszłą panią mego domu pokłonili.

HANKA (*jak obłąkana*). Cicho. — To nie może być — nie może być — nie może być...

KONRAD (*zdumiony, jakby przejrzał*). Gdzie pan Boroński?

WANDA (*wbiega bezsilna i chwyciła na scenę*). Konrad! na Boga!

SCENA DZIESIĄTA.

Zlituj się synu, to nie może być to stać się nie może! Konrad! Dziecko moje najdroższe! Moje wszystko na świecie! (*Zanosi się płaczem*). Ja taki straszny, straszny grzech popełniłam... On i ja taką straszną zbrodnię spełniliśmy na nim — na twoim ojcu... Dziecko najdroższe — ty nie możesz, nie możesz tego zrobić — Tylko nie to, nie to!

KONRAD (*zmieniony i skamieniały*). Matko! tyś winna śmierci mego ojca?! Ty? — Ty? — Ty? —

WANDA. Ja... ja... ja... Biorę na siebie całą winę i wszystek ból. Tylko mnie nie opuszczaj! Nie opuszczaj! Nie opuszczaj! Będę cię gwałtem trzymać. Nie odchodź! nie odchodź! Bo zabijesz mnie!

HANKA (*zrywa się z martwoty dotychczasowej i rozszalała sbiega w głąb parku*). Zostań Konrad, zostań! Ja idę do mego ojca zbrodniarza, tam moje miejsce!

KONRAD (*porywa się za nią*).

WANDA (*przypada do niego, czepia się go i woła*). Nie odchodź, nie odchodź, bo zabijesz matkę!

KONRAD (*z zimnym, zastygłym bólem*). Nie mam matki.

WANDA. Boże! Boże! Jak strasznie mnie karzesz. (*Przez drzewa parku widać tunę ognia i słychać krzyki przerażenia: Pożar! pożar!*).

WANDA (*zrywa się*). Pożar! Pożar! (*Jak obłąkana leci do salonu między przerażonych i pomięszanych gości*).

KONRAD (*wybucha wielkim śmiechem*). Ha... ha... ha...
Moje fabryki się palą. Trzykroć powiększona puścizna po ojcu.

PRZYJACIEL. Ja sam ogień podłożyłem.

KONRAD. Dobrze zrobiłeś. Uprzedziłeś myśl moją.

BOROWSKI (*za sceną*). Ratunku! Ratunku! Hanka skoczyła w płomienie!

KONRAD (*z całą gwałtownością porywa się by biec na ratunek, lecz nagle jakby siłą ubezwładniony, obsuwa się na stopnie kamienne werandy*).

PRZYJACIEL (*dotyka jego ramion, z poważnym spokojem*). Wstań — pójdziemy razem na nowe życie i nowy trud.

KONRAD (*zwolna podnosi się i zboląły, zapatrzony w dal przed siebie podaje przyjacielowi dłoń*).

Zastona spada.



[The main body of the page is mostly blank white space with some faint, illegible markings and a vertical line on the left side.]

